



Krajobrazy Słowa

Pokłosie
XXVI Konkursu Literackiego

Kędzierzyn-Koźle 2019





XXVI Konkurs literacki

Krajobrazy Słowa

Antologia poezji i prozy laureatów konkursu literackiego

MBP
KĘDZIERZYN-KOŹLE



Kędzierzyn-Koźle 2019

Honorowy Patronat



Prezydenta Miasta Kędzierzyn-Koźle



Marszałka Województwa Opolskiego

Projekt logotypu „Krajobrazy Słowa”

Leszek Oldak

Opracowanie graficzne i projekt okładki

Dariusz Herbowski

Opracowanie redakcyjne i korekta

Jan Andrzej Fręś

ISBN 978-83-941650-4-8

Wydano nakładem Miejskiej Biblioteki Publicznej
w Kędzierzynie-Koźlu



SPIS TREŚCI

Wstęp

Karol Maliszewski – Modele uczestnictwa, krajobrazy słowa 7

Antologia

proza

Sebastian Markiewicz – godło „Szymek Pietruszka” 11

Katarzyna Pochmara-Balcer – godło „Amante” 17

Weronika Łodyga – godło „Biały Lis” 23

Bogdan Nowicki – godło „Rudzik” 43

Małgorzata Mazana – godło „nimende” 51

Krzysztof Golczak – godło „UltraRunner” 69

poezja

Natalia Kubicius – godło „eNKa”	91
Dominika Lewicka-Klucznik – godło „Duktando”	97
Klaudia Mazur – godło „ŚWIAT TŁO”	103
Agata Wesołowska – godło „Kokoszka”	109
Miłosz Kamiński – godło „Usługi dla ludności”	117



XXVI Konkurs Literacki

Krajobrazy Słowa

WSTĘP

Modele uczestnictwa, krajobrazy słowa

Już na wstępie przypominają się zdania z zauważonego wiersza (o modelu żaglowca, „co pływał / po tylko sobie / znanych wodach”), określając sposób lektury i opisu. Wyjątkowo mocno odczuliśmy w tym roku (my, jurorzy) osobność modeli pływania „po tylko sobie / znanych wodach”. Naszą aprobatę zyskały takie propozycje, które tworzyły alternatywę dla zwyczajności i banału, potrafiące wychylić się w stronę oryginalnego postrzegania rzeczy i ludzi. Najbardziej interesujące było podsluchiwanie i podpatrywanie, jak oni mówią o świecie, o sobie w świecie, jak uczestniczą w byciu, odnajdując się w języku wykraczającym poza codzienne kompetencje. Być może jedno ze znaczeń hasła „krajobrazy słowa” tego właśnie dotyczy.

Natalia Kubicius ujęła nas bezkompromisowością i humorem; wprawdzie „nie dokonuje samospalenia w akcie protestu przeciwko władzy”, ale potrafi znaleźć błyskotliwe zastępniki takich stanowczych gestów, które w jej wydaniu wydają się czymś w rodzaju polemiki z władzą i normami społecznymi wyznaczanymi przez dominujący dyskurs. Bohaterka jej wierszy nieustannie ma na pieńku z formatowaną przez

media (i wreszcie przez nas samych) rzeczywistością, dyskutując zawzięcie z każdym przejawem głupoty, pychy i przemocy. Kto powiedział, że młoda, zaangażowana poezja ma być śmiertelnie nudna? Kubicius zaprzecza temu każdą linijką. Śmieszy, ale i przestrasza, doprowadzając do poznawczo płodnej refleksji, a to jest dla nas, czytelników, najważniejsze. Inną refleksję zawdzięczamy Dominice Lewickiej-Klucznik. Tutaj wiersze nie wychodzą na ulicę z transparentami pełnymi zadziornych słów, raczej pozostają w domu. To głos osoby dojrzałej, dystansującej się względem bezpośredniego zaangażowania. Nawet pozostając w domu, trzymając się jego porządków i rytuałów, widzi bardzo dużo, rozpamiętuje, analizuje, porównuje, odnosząc się do niesprawiedliwości i krzywdy. Tutaj ten wielki pryzmat, przez który przenika światło samorozumienia, tworzą: dom, rodzina, pamięć. Głos tej bohaterki brzmi może ciszej, ale równie przejmująco, gdy opowiada o „zbędnych córkach” czy o tej, która „piła za dużo i nie umiała ułożyć sobie życia”. Wiersze Klaudii Mazur wydają się mieścić w tak zarysowanym typie kobiecej (i w ogóle ludzkiej) ekspresji, jednak nie potrzebują aż tylu słów (nie potrzebują opowieści), żeby wydeptać własną ścieżkę w krajobrazie znaczeń. Jej teksty są jak sygnały namysłu, wzruszenia czy doznania, pozostawiające niedomkniętą przestrzeń, którą czytelnik musi zapełnić sobie sam. Każdorazowe umieranie świata, a także jego powroty do życia, to tylko jeden z tematów i typów obserwacji, a obserwacja jest tu zazwyczaj świeża, zaskakująca, odkrywcza. Coś podobnego odnajduję w utworach Agaty Wesołowskiej. Z tą różnicą, że Wesołowska jeszcze bardziej powstrzymuje się od pointy, komentarza, od domknięcia wywodu. Rzuca na papier kilka krzywych kresek, które dopiero po kolejnej lekturze tworzą prowizoryczną całość, przypominającą ledwo utrzymujące się na wodzie czółno, za którym zdumiony czytelnik wodzi wzrokiem w poszukiwaniu sensu. Ten jednak wydaje się sparaliżowany, dotknięty śmiercią i jej rozpamiętywaniem, a więc niezbyt skłonny do łatwego układania się z przewidywalnym rozwojem wydarzeń i szykiem

wyrazów w zdaniu. Zdarza się więc, że wchodząc w tekst tej poetki, jesteśmy „jedynymi zwiedzającymi”, ciągle mając widok na „model żaglowca / co pływał / po tylko sobie / znanych wodach”. Tak też żegluję Miłosz Kamiński z Jeleniej Góry, w ogóle nie interesując się, jaki obecnie język jest w modzie, jakim należy oddawać się falom. Oddaje się swojej własnej, anachronicznej, w sobie zapadłej, zamierzchłej, lecz przez to tajemniczej i szlachetnej. Wiersze te można czytać w bardzo różnych perspektywach, na przykład ta osobista ujawnia głębokie uczucie żywione do wybranki, ale i do rodzinnej ziemi. Mało kto obecnie w taki sposób wysławia swoje miejsce, tworząc nostalgiczne obrazy Dolnego Śląska i Sudetów. Poeci poszli w ogólność, Kamiński pozostał przy swojej czulej poszczególności.

Proza w tym roku tak różnorodna, że trudna do objęcia podsumowującą definicją. „O wujkach można by długo”, podobnie jak o ujawnionych stylach, światopoglądach i upodobaniach literackich. Sebastian Markiewicz pisze tak, jakby siedział przed nami i wesoło, na luzie, opowiadał, raz po raz ściskając za serce bądź rozśmieszając do łez. Katarzyna Pochmara-Balcer też wraca do dzieciństwa, tworząc jego wyrazisty, przejmujący obraz, lecz czyni to zupełnie inaczej. Dwa różne temperamenty pisarskie. Markiewicz szkicuje, dowcipkując, natomiast Pochmara-Balcer pisze tak, jakby pracowała nad wnikliwym studium ludzkiej duszy. Niewiele ustępuje jej Weronika Łodyga, wciągając czytelnika w coś pełnego napięcia, tajemnicy, nadwrażliwości, a ten bardzo szybko utożsamia się ze smutną dziewczynką albo z parą młodych ludzi usiłujących ją oswoić i pokochać. Bogdan Nowicki zaprasza do jeszcze innej gry, podkreślając tekstowość stwarzanego świata, igrając znanymi motywami, wątkami, toposami. Każdy z nas tak, jak bohater tej prozy, opłatan jest przez sieć nawiązań, porównań, wzorców. Jesteśmy bez przerwy w sieci wymagań i norm określonej kultury, nie zawsze zdając sobie z tego sprawę. Nowicki w intrygujący sposób nam to (i nie tylko

to) uświadomił. Z kolei Małgorzata Mazana bryluje w domenie prozy obyczajowej, opartej na bystrej obserwacji rodzinnej i społecznej. Tym razem nie o dziecku ta opowieść, lecz o babci – to ona jest gwiazdą soczystej prozy, której istotą wydaje się być żywa emocja, dotycząca rozważania roli więzi rodzinnych, przemijania i następstwa („Uwielbiam Cię, Panie Boże, i dziękuję za smak tej wody. Dziękuję za istnienie mojej matki i mojej babci. Dziękuję Ci za każde dziecko, które się z nas jeszcze zrodzi i już się zrodziło”). Na takie oparcie – w sieci czy też w rodzinie – nie może liczyć bohater prozy Krzysztofa Golczaka, stale balansując między pasją życia a chęcią unicestwienia się. Kolejne dni jałowej egzystencji przeżywa warunkowo, łagodząc dotkliwość bycia wyobrażaniem aktu odmowy, samobójstwa. Obraz tego psychicznego piekła wydał się jurorom nad wyraz sugestywny.

Wszystkie zauważone przez nas modele pływania i odpływania, typy uczestniczenia w rzeczywistości i języku, tworzenia nowych krajobrazów słowa – zaistniały i zabrzmiały dzięki konkursowi w Kędzierzynie-Koźlu. Jak co roku na wiosnę konkurs ten przyniósł nadzieję i dostarczył literaturze polskiej sporo świeżego powietrza. Oby wyłowione tu talenty rozwijały się w przyszłości równie wspaniale.

Karol Maliszewski



XXVI Konkurs Literacki
Krajobrazy Słowa

Sebastian Markiewicz

godło „Szymek Pietruszka”

**NAGRODA GŁÓWNA –
Nagroda Prezydenta Miasta Kędzierzyn-Koźle**

Sebastian Markiewicz

Ur. w 1978 r. w Warszawie. Z wykształcenia rusycysta. Tłumacz przysięgły języka rosyjskiego. Mieszkał w kilku naprawdę dużych miastach, a obecnie mieszka w Lublinie, gdzie wraz z żoną wychowuje dwójkę wspaniałych dzieci. Czasem coś napisze, czasem go nawet wyróżnią. W chwili obecnej uczestniczy w projekcie „Słowa na słowa. Polsko-rosyjska szkoła przekładu literackiego”.

Dzieciństwo. Szkic.

Gdy byliśmy w podstawówce, nasze matki były już stare. Miały zazwyczaj luki w uzębieniu, trwały ondulację, ubierały się w szare ciuchy z epoki i niemal wszystkie paliły papierosy. Przeważnie miały około trzydziestu lat, ale wyglądały jak lata osiemdziesiąte. Były jednakowo szare i brzydkie, jak ekrany dźwiękochłonne wzdłuż dróg, których wtedy jeszcze nie było. Ani dróg, ani tych nieszczęsnych ekranów. Wbite w szare ciuchy były bezkształtne i nijak nie kojarzyły się z kobiecością.

Ich głównym zajęciem było – oprócz palenia papierosów – gotowanie obiadu i pytanie, czy odrobiliśmy lekcje. Nie woziły nas na zajęcia dodatkowe, bo nie miały czym ani dokąd. Naprawdę mało kto z nas robił coś dodatkowego poza szkołą. Kilku grało w piłkę w klubie, co przekładało się na słabsze wyniki w nauce – taka korelacja – i utyskiwanie matek, bo prac te ciuchy bez przerwy trzeba.

No, na religię nas też ganiały do sal katechetycznych. Ale nie wszystkie i głównie przed pierwszą komunią.

Wymieniały się słuchami, gdzie co rzucili. I ile znowu trzeba w szkole za komitet zapłacić. I jaka w ogóle drożyzna. A my nie mogliśmy zrozumieć tej sprzeczności – jeśli nie ma nic, to jaka może być drożyzna?

Matki zawsze szły „kupić coś na obiad”. Zawsze zastanawiało nas, dlaczego codziennie muszą „kupić coś na obiad”, tak jakby nie mogły kupić na zapas. Tak jak z papierosami – każdego dnia szły do kiosku

po swoje radomskie czy extramocne (mało która paliła choćby carmeny; zagranicznych nie palił nikt, paczki po zagranicznych się zbierało i dumnie prezentowało jako kolekcję), tak jakby nie można było kupić ich na zapas. Przecież były w porównaniu z dzisiejszymi tanie jak przysłowiowy barszcz.

Matka Rosy wyglądała wyjątkowo staro. Jej nadejście zwiastował zawsze stukot zelowanych wiele razy butów. Szła zawsze zgarbiona, dźwigając siaty z zakupami, w szarym płaszczu, który mógł mieć tyle lat co ona, ze wzrokiem wbitym w krzywy osiedlowy chodnik. Zmartwień dodawał jej fakt, że owdowiała dość szybko – jej mąż wpadł pod tramwaj, a do wychowania miała dwóch synów, bo Rosów było dwóch. Trzeba przyznać, że poradziła sobie z ich wychowaniem nader dobrze. Nie wiem, czy dzięki swojej stanowczości i matczynej opiece, czy dzięki temu, że Rosy to były spokojne chłopaki. A przecież u nas na osiedlu spokojny chłopak to była rzadkość.

Tylko matka rudego Kiryły wyróżniała się z tego grona. Wyprzedzała epokę. Teraz matki tak wyglądają. Miała kolorowe ciuchy, była szczupła i wysoka, miała białe zęby i coś kolorowego wetkniętego w długie blond włosy. W ogóle nie wyglądała jak matka. Bardziej jak dziewczyna z filmu, ale nie polskiego. Jak postać, która wskoczyła do szarego filmu z końcówki Polski Ludowej z zupełnie innej bajki. Kiedyś zasiedzieliśmy się u rudego Kiryły, a jego matka poczęstowała nas obiadem. Spaghetti z tuńczykiem i kaparami. Nikt z nas nie wiedział, co to jest tuńczyk i co to są kapary. Nazwę „spaghetti” kojarzyliśmy z filmów. Smakowało nam bardzo, już nigdy potem tuńczyk nie był tak pyszny jak wtedy. Kapary też. Po obiedzie matka Kiryły zamknęła się w swoim pokoju i puszczała z adapteru dziwną muzykę, której nie znaliśmy i tańczyła. Sama. Podglądaliśmy ją przez dziurkę od klucza. Jakiś czas potem uświadomiłem sobie, że słuchała Led Zeppelin.

Rudy Kiryła mieszkał bez ojca. Ojcowie to inna historia. Większość z nich była taka jak mój. Też wyglądali na dziesięć lat więcej, niż mieli. Byli robotnikami, którzy dostali mieszkanie z przydziału; pracowali przeważnie w jednym z pobliskich zakładów, do domu wracali w roboczych ciuchach przesiąkniętych wonią potu, smarów, benzyny i wszystkiego tego, czego używało się na zakładzie. Z kieszeni wystawała im zawsze żółta metrówka, doskonałe narzędzie do otwierania piwa. Śmierdzieli papierosami i wódką. Po domach chodzili w siatkowych podkoszulkach. Ich ręce były umięśnione, a muskuły te powstały jako skutek ciężkiej pracy. Jakże ich ręce różniły się od rąk dzisiejszych ojców, które są jednakowej grubości od nadgarstka aż do barku. Nie były też upstrzone pseudo-tatużami, które wyglądają jak kartka wyrwana z notatnika pacjenta szpitala psychiatrycznego. W większości byli robotnikami w pierwszym pokoleniu, co najbardziej widoczne było w okolicach Wszystkich Świętych, gdy przez dwa-trzy dni nie miałem się z kim bawić na podwórku, bo wszyscy wyjeżdżali na groby.

Kilku ojców było prywaciarzami. Oprócz wąsów nosili też długie włosy z tyłu, ubierali się w skórzane lub dżinsowe kurtki i torebki-nerki, zwane też pederastkami. Zazwyczaj mieli samochód inny niż wytwór polskich fabryk motoryzacji. Ich żony ondulacje miały jakby trochę inne i więcej zębów. Oni niekoniecznie. Po ich dzieciach widać było, że mają w domu więcej rzeczy; nie zbierali np. paczek po papierosach ani puszek po napojach, bo oni pili napoje z puszek. Ci ojcowie przeważnie udzielali się też społecznie – gdy nawalił klubowy robur, wozili drużynę swoimi furgonetkami.

Tylko ojciec Dzieciota był jedyny i неповtarzalny. Dzieciot mieszkał z matką, ojcem i bratem w czteropokojowym mieszkaniu, co wydawało nam się niewiarygodne. Bo zazwyczaj taki metraż dostawały rodziny z co najmniej czwórką dzieci. Ale on był dyplomatą albo jakimś wysokim

urzędnikiem. Miał w tym mieszkaniu swój gabinet. Jak to wówczas brzmiało – gabinet... A przecież większość z nas cisnęła się w dwóch pokojach z rodzicami, rodzeństwem, a nierzadko jeszcze z babcią.

Większość babć wyglądała podobnie. Były stare, chude i pomarszczone. Niemal wszystkie paliły – podobnie jak matki i ojcowie. Niektóre z nich – jak na przykład moja – używały do tego lufek. Szklanych albo drewnianych. Były pomarszczone i zwiędłe, a przecież z reguły nie miały więcej niż sześćdziesiąt lat. To wojenne przejścia tak je powykręcały i pomarszczyły. Nie były roszczeniowe wobec świata, aby mieć co do garnka włożyć i co na siebie. Do garnka wystarczała garść kaszy i schabowy przy niedzieli. Na siebie – ten sam paltocik z samodziału od nie wiadomo kiedy. I nieodłączna torba „anużka”, bo a nuż coś rzucą. Ci, którzy mieszkali z babcią, mieli wiele niedogodności, ale jedną niewątpliwą wygodę – zawsze mogli wpaść do domu i coś zdrowego na szybko przekąsić. Chociaż nie wszystkie babcie były tak przydatne. Babka Arka i Rafała, przesiedlona ze wsi trochę wbrew swojej woli, bo to nie było tak, że ona uciekła do miasta – to miasto wprowadziło się blokowiskiem do niej na wieś, w zamian dając przydział na trzy pokoje z kuchnią, synem, synową i wnukami – postradała zmysły i często wychodziła z bloku szukając swoich zagonów, szukając wspomnień nad niewielką rzeczka i resztek dawnego pola, które obrabiała. I resztek sadu, pańskiego zresztą. Ale na próżno. Jak to ktoś powiedział – nie ma sensu odwiedzać dawnych miejsc. Ich już przecież nie ma. Z biegiem czasu babka Arka i Rafała, zwana przez gawiedź „Babichą” straciła władzę także w nogach, tak więc chodziła z balkonikiem tylko po klatce schodowej tam i z powrotem, tam i z powrotem. A później straciła także władzę w zwieraczach i Arek z Rafałem bardzo się musieli wstydzić, a szyderstwa ze strony kolegów prostować pięściami. Ja miałem to szczęście, że moje babcie były z miasta już dwa pokolenia wcześniej i mieszkaly w swoich mieszkaniach. I nie trzeba im było tłumaczyć, że wanna nie służy do przechowywania ziemniaków.

Dziadka miał mało kto. Tych, których nie zabrała wojna – a wielu było takich i nasi rodzice znali ich wyłącznie z przedwojennych fotografii i opowiadań swoich matek – zabrała ciężka praca (czy to na roli, czy w fabryce) lub nieumiarkowanie w paleniu i picciu. Obaj moi dziadkowie ledwie przekroczyli sześćdziesiątkę w momencie śmierci. Jeden wychował się w czworakach na wsi. Dziś teren, na którym ta wieś leżała, jest niemalże centrum miasta. Drugi był wychowankiem tego grodu i, podobnie jak jego ojciec, przeznaczeniem jego było pracować w fabryce. Obaj pracowali ciężko, obaj kopcili jak parowozy, bo tak wypadało, obaj też nie wylewali specjalnie za kołnierz. Pamiętam ich jak przez mgłę, bo zmarli szybko jeden po drugim. Na czarno-białych zdjęciach wyglądają podobnie, jakby mieli osiemdziesiąt lat, a nie sześćdziesiąt. Zdjęcia pochodzą z uroczystości rodzinnych, roi się na nich od ciotek, wujków, stryjenek i szwagrów.

O wujkach można by długo.



XXVI Konkurs Literacki
Krajobrazy Słowa

Katarzyna Pochmara-Balcer

godło „Amante”

I nagroda w dziedzinie prozy

Katarzyna Pochmara-Balcer

Absolwentka filozofii i filologii węgierskiej oraz Szkoły Mistrzów Studiów Pisarskich i Prezentacji Tekstu Literackiego na Uniwersytecie Warszawskim. Autorka powieści „Lekcje kwitnienia” (Nisza, 2018). Nominowana w konkursie na najlepsze opowiadanie 14. Międzynarodowego Festiwalu Opowiadania we Wrocławiu. Współzałożycielka i członkini grupy literackiej Skład15. Publikowała w „Kulturze Liberalnej”, „Tekstualiach” oraz „Przeglądzie Powszechnym”.

Szczur

Anka siadała zawsze na brzegu furmanki, bo lubiła obserwować rozjechane zwierzęta. Dopóki nie została przewodniczącą klasy, wtedy wszystko się zmieniło. Lubiła obserwować rozjechane zwierzęta, choć nigdy by się do tego nie przyznała. Na przykład tego szczura, którego mijaliśmy tamtego dnia cztery razy, bo Anielka zapomniała pracy domowej i stary Rychlewski, który powoził, zgodził się zawrócić. Zawsze się zgadzał, taki już był, przecież wcale nie musiał nas wozić tą furmanką, do szkoły mogliśmy równie dobrze jechać na rowerach, a jak ktoś nie miał, to od biedy pójść pieszo, aż tak daleko nie było. Tylko co to by była wtedy za frajda, myślał Rychlewski, bo taki już był, sfrajerzony, jak mówił ojciec. Dlatego mijaliśmy szczura już czwarty raz. Leżał na ziemi jak przebity balonik i tylko wypłowiwała różowa plama obok głowy sugerowała, że było w nim kiedyś coś więcej niż powietrze. Anka lubiła patrzeć na rozjechane zwierzęta, a ja lubiłem patrzeć na Ankę, jak wychyla się z wozu, odsłaniając gołe uda. Zawsze miała białe majtki, zawsze było je widać, bo to była Anka i nie dbała o takie sprawy. Chodziła z nami nad rzekę, tam, gdzie Biernacki topił szczeniaki, moja suka by go zagryzła, chwaliła się, kiedy wiedziała, że nie może jej usłyszeć. Chodziła z nami wszędzie, zbierać patyki na szalas i kraść wiśnie u Rozwadowskich. Rozbierała się do majtek i pływała z nami w Narwi, bo to była Anka i nie przejmowała się takimi rzeczami. Dopóki nie została przewodniczącą klasy, wtedy wszystko się zmieniło. Tak, to musiało być w dniu wyborów, kiedy Anka wychyliła się z wozu, odsłaniając gołe uda, a ja na białych majtkach zobaczyłem różową plamę krwi, dokładnie taką jak ta, która rozlała się obok szczura. Anka uśmiechnęła się do mnie, bo jeszcze nie wiedziała, i to był ostatni raz, kiedy ją taką widziałem. Potem została przewodniczącą klasy.

Mało kto został w Jachrance, kiedy skończyła się szkoła. Anka wyjechała jako jedna z pierwszych. Na nauki, chwaliła się jej babka, dumna z tego, że dziewczynka, z której nóg nigdy nie schodziły zadrapania i siniaki, wyrusza teraz na nich w wielki świat. Ja też w końcu musiałem podjąć decyzję. Nawet jeśli chciałem, by pewne rzeczy pozostały jak dawniej, zmiany i tak dokonywały się bez mojego przyzwolenia. Nie miałem babci, która niosłaby tę wieść po całej wsi, ale w końcu i ja wylądowałem „na naukach”. Nie dały mi wiele, dlatego po pewnym czasie wróciłem do Jachranki z podkulonym ogonem, gotów pokornie przyjąć wszystko, co los łaskawie podetknie mi pod nos. Na przykład Zośkę, która siadała zawsze z przodu wozu i nogi trzymała ściśle złączone, i choć kandydowała wtedy na przewodniczącą klasy, nikt nie chciał na nią głosować. Ale Zośka urodziła mi bliźniaki i to akurat było dobre. Zabierałem je nad Narew, budowaliśmy szałas. Zośka prała ich pobrudzone wiśniami ubrania, złorzeczając pod nosem, akurat tak, by było wiadomo, że ją to pranie męczy dokładnie w takim samym stopniu, jak cieszy. W soboty, kiedy bliźniaki zasypiały, oglądaliśmy talent show. Młodzi wokaliści walczyli o kontrakt płytowy. Wzruszałem się lub komentowałem krytycznie. Zośka miała w zębach chipsy paprykowe. Zazwyczaj przyznawała mi rację. I tylko czasem powietrze wokół mnie gęstniało do tego stopnia, że miałem wrażenie, że się uduszę. Wychodziłem wtedy z domu i biegłem przed siebie, dopóki nie poczułem się zupełnie wyczerpany. Wówczas wracałem i kontynuowałem to wszystko, co byłem zmuszony przerwać. Naprawianie szafki, zakładanie dziecku skarpetek. Potem chowałem narzędzia albo domykałem komodę.

To nad rzeką zobaczyłem Ankę pierwszy raz po latach. Spodziewałem się tego, wieść o śmierci jej babki rozniosła się po wsi jak woń kościelnego kadzidła. Anka musiała przyjechać i, jako jedyna dziedziczka rozpadającej się chałupy na skraju wsi, pewnie na jakiś czas tu zostać. Spodziewałem się jej, ale siebie, swojej reakcji – już nie. Krew gotująca się w skroniach jak niedzielny rosół.

– Co się stało, tatusiu – pytanie, do którego będę wracał wielokrotnie, zawsze z tą samą bezradnością.

To nad rzeką Anka pierwszy raz mnie zignorowała. Choć wtedy jeszcze nie byłem pewien, mogła mnie przecież nie zauważyć. Dopiero potem to stało się oczywiste: w kolejce po bułki, w przychodni, na Zegrzyńskiej przed zachodem słońca, kiedy oberwała się chmura.

– Nie stój tak, tatusiu, wracajmy do domu!

– Ja chcę do domu, tato, a nie tak moknąć i moknąć!

– Cii, tata się zablokował jak robot. Musisz nacisnąć, to odżyje. O tu. Widzisz? I już idziemy.

– Kupisz mi żelki, tato? Tato? Proszę, obiecałeś!

Nie żebym nie chciał być z Zośką. Była jak ciepłe kapcie, rozchodzone, ale wygodne. Mało co się uśmiechała, gadała bez przerwy.

– Nie podobam się sobie, wyglądam jak urzędniczka jakaś – mówiła naciągając spódnicę, kiedy wychodziliśmy wieczorem do Pietraszewskich.

– Zostanę może?

A ja wiedziałem, że to kwestia wyrazu twarzy, że gdyby chociaż ten wyraz twarzy zmieniła, gdyby na moment przestała gadać.

– Wiedziałaś, że młoda Kurnikowa wróciła? – pytał Romek, polewając wódkę. Zośka wzdrygnęła się, jakby niezauważona upiła już trochę przed nami.

– Stara umarła, to musiała – rzuciłem szybko i wychyliłem jako pierwszy, nie czekając na resztę. – Daj czymś zagryźć, Romus.

– Może wróciła trochę nam tu poprzewodniczyć – kpił głupio, sięgając po kiszeniaki. Zagryzłem i poczułem ostry ból w górnej dwójce. To nie był mój dzień na picie.

Pamiętam jak Anka ukruszyła sobie ząb na cukierku. To ja poczęstowałem ją starą landrynką, którą ukradłem z szuflady ojca. Przyłożyła dłoń do ust, zaskoczona, i spojrzała na mnie tak, jakby tym wzrokiem ważyła właśnie mój los. A potem uśmiechnęła się szybko i odwracając się w stronę rzeki, powiedziała, że jutro znowu musimy pójść popływać.

Teraz biegałem tak, jakby mnie ktoś gonił i myślałem przy tym: nie dogonią mnie, kurwy jedne, nie dogonią. Nigdy mnie nie doganiały. Zośka mówiła koleżankom, że to ta moda teraz na bieganie, że do maratonu się szykuję, a co, niby czemu bym nie miał? Nie rozmawialiśmy o tym między sobą. Ona miała swoje gadanie, ja miałem swoje bieganie. Czasem nad rzeką widziałem Ankę. Musiała tam często przychodzić. I któregoś dnia po prostu się zatrzymałem.

To wtedy też się stało nad rzeką, już trzy lata z rzędu ją wybierali na przewodniczącą klasy, już się szkoła kończyła i trzeba było iść dalej. Gruby i Bodzio do zawodówki się wybierali, ja chciałem ambitniej, papiery do technikum złożyłem, choć się stara Cyrankowa od matmy ze mnie na lekcjach nabijała. I przyszliśmy nad rzekę opijać egzaminy i brak egzaminów tym bardziej, a tam Anka z koleżankami siedzi, kamienie do Narwi wrzucają i pociągają z butelki. To się przyłączyliśmy do dziewczyn, kulturalnie chcieliśmy towarzystwa panienkom dotrzymać. Te dwie się zmyły od razu, przestraszone, ale nie Anka, ona nie przejmowała się takimi rzeczami. Nie wiem, dlaczego to się stało.

Chyba normalnie było przez jakiś czas, śmialiśmy się przecież wszyscy, tylko potem ją Gruby za rękę złapał, Bodzio trzymał nogi. Pozwolili mi być pierwszym.

Anka stała nad Narwią i wrzucała kamienie do rzeki. Chciałem, żeby mi się trochę oddech uspokoił, żałowałem, że taki spocony stoję koło niej i cuchnę. Chciałem zacząć jakoś elegancko, tylko w ustach mi było sucho i czekałem, aż mi serce przestanie walić, ale Anka po prostu przeszła obok, jakby mnie tam w ogóle nie było. I odeszła w stronę wsi, bo to była Anka.



XXVI Konkurs Literacki
Krajobrazy Słowa

Weronika Łodyga

Godło „Biały Lis”

II nagroda w dziedzinie prozy

Weronika Łodyga

Studentka piątego roku farmacji na Gdańskim Uniwersytecie Medycznym. Amatorsko tworzy prozę i poezję, głównie do szuflady. Poza pisaniem interesuje się japońskim komiksem i animacją.

Oswajanie

Julia należała do niewielkiego grona osób naprawdę lubiących swoje życie. Co więcej, lubiła również otwarcie się do tego przyznawać, czym zdobywała zaszczytne miejsce w zdecydowanej światowej mniejszości. Nie przechwalała się ani nie wywyższała, umiała po prostu słusznie przyznać, że udało jej się osiągnąć większość tego, co w podstawówce wypisała na liście „rzeczy do zrobienia przed śmiercią”. Czasem żartowała nawet, że pozostał już na niej jedynie „suflet idealny według przepisu babci”, którego wykonanie stało się niemożliwe, odkąd przeniosła przez próg domu małego, słodkiego i drącego się wniebogłosy potworka, który obecnie liczył sobie lat pięć, wołał na nią „mamo” (a jeszcze częściej „no maaamo-o, nooo...!”) i wciąż pozostawał niewyobrażalnie uroczy. Oraz głośny, co, jak powszechnie wiadomo, sufletom zdecydowanie nie sprzyja.

Jednocześnie Julia nie lubiła zwać wszystkiego na ślepy los. W jej karierze nie było miejsca na jakikolwiek „fart”, wszystkie osiągnięcia zawdzięczała wyłącznie ciężkiej pracy i odrobinie talentu, każdy krok na lodzie był starannie zaplanowany, wyćwiczony w pocie czoła i nic tu nie działo się przypadkiem. Słowo „szczęście” zarezerwowane było wyłącznie dla życia prywatnego. Dla przyjaciół, których nie poznałaby, gdyby nie kilka głupich, lekkomyślnych decyzji w przeszłości; dla siostry, która zawsze umiała wyciągnąć ją za uszy z konsekwencji owych decyzji; dla Konrada, którego minęłaby bez jednego spojrzenia, gdyby los nie obdarzył go tak irytującym charakterem, że Julia musiała, po prostu musiała zwrócić na niego uwagę, choćby po to, by się na niego wściec. I wreszcie – dla Patrycji, która weszła do ich świata nie wiadomo jak i kiedy, a która teraz cały ten świat podbiła i ogłosiła swoim królestwem.

Może dlatego ludzie tak często zgłaszali się do Julii z prośbą, by wzięła udział w kolejnej akcji charytatywnej, ponieważ umiała doskonale podkreślić, jak ważna jest ciężka praca i jak wiele wysiłku trzeba włożyć, by cokolwiek osiągnąć, a jednocześnie nigdy nie ukrywała, że potrzebna jest również odrobina zwykłego szczęścia. I, co najważniejsze, wyznawała zasadę, że jeśli tylko jest to w jej mocy, powinna innym ten „ślepy fart” zastąpić trochę mniej ślepą pomocą.

Z drugiej strony mogło chodzić po prostu o to, że była znana, ogólnie lubiana i nigdy takim prośbom nie odmawiała, to też pewnie robiło swoje. Nie bardzo ją to jednak interesowało, lubiła czuć się potrzebna i lubiła mieć świadomość, że angażując się w coś, może ułatwić komuś życie. Nawet jeśli czasem były to sprawy dość błahe, jak choćby nieśmiałe pytanie dyrektorki pobliskiego domu dziecka, czy nie zechciałaby zobaczyć się z dziećmi z okazji nadchodzących Mikołajek. Była miejscową idolką i dzieci darzyły ją bezgranicznym wręcz uwielbieniem. Nigdy nie było również tajemnicą, że sama została w dzieciństwie adoptowana, co w oczach osieroconych maluchów dodawało jej jeszcze więcej blasku. Wizyta kogoś takiego z pewnością sprawiłaby im dużo radości.

Julia sama miała córkę i wiedziała aż za dobrze, ile jest w stanie zrobić, by zobaczyć jej uśmiech. Bez wahania zaprosiła więc całą grupę na lodowisko, by mogli z bliska przyjrzeć się treningowi, a przy okazji spróbować swoich sił na łyżwach.

Dzieciaki były więcej niż zachwycone. Z początku nieco wycofane, szybko nabrały śmiałości i kiedy po krótkim pokazie, pełnym „ochów” i „achów” małoletniej publiczności, Julia zaprosiła wszystkich na lód, większość nie miała już najmniejszych oporów. Co bardziej nieśmiałe również przełamywały ostatecznie lęk. Jedną, wyjątkowo przerażoną

perspektywą jazdy dziewczynkę Julia osobiście przekonała, że nie ma się czego obawiać, tak że ostatecznie w zabawie brała udział cała grupa.

Prawie cała, jak zauważyła pół godziny później, gdy roześmianą gromadkę przejęli opiekunowie i Julia odjechała na bok, by nieco odsapnąć. Jedno samotne stworzonko siedziało na ławce pod ścianą, opatulone spraną kurtką, i naciągnawszy czapkę po same brwi zawzięcie bazgrało coś w opartym na kolanach bloku. Kiedy Julia podjechała bliżej i oparła się o barierki naprzeciwko, stworzonko podniosło głowę i okazało się pyzată dziewczynką o dużych, jasnych oczach, z parą warokoczy spadających na ramiona i miną wyrażającą całkowitą obojętność. Twarz miała okrągłą, nos nieco zadarty, cerę jasną, a na jednym z policzków wyróżniała się namalowana pomarańczową kredką gwiazdka. Zresztą chyba jedyna charakterystyczna rzecz, cała reszta była ani szczególnie ładna, ani brzydka, za to tak wyraziście nijaka, że Julia nie była nawet pewna, jak mogłaby ją opisać.

Przez chwilę mierzyły się wzrokiem - dziecko sądząc zapewne, że kobieta ma jej coś do powiedzenia, Julia raczej bez żadnego celu – po czym mała uznała najwyraźniej, że minął przyznany jej czas, bo spuściła głowę i na nowo zajęła się kartką.

Julia bezwiednie przechyliła się nad barierką, by podejrzeć rysunek.

– Co to? – zapytała, wskazując brodą na blok.

Dziecko podniosło na nią umęczony wzrok.

– Blok – wyjaśniła cierpliwie, choć z wyraźnym znużeniem. – Kredki – dodała, podnosząc drugą rękę tak, by mogła wyraźnie widzieć trzymane w niej pudełko.

Kobieta uśmiechnęła się pod nosem. Boże, jakby słyszała Patkę! Ich córka nabrała ostatnio zwyczaju odpowiadania na każde „co robisz?” niewinnym „bawię się”, co mogło oznaczać „grzecznie przeglądam książeczki”, albo równie dobrze „próbuję ogolić kota”.

– A jak złączysz je razem, zacznie się magia. – Podsumowała zachęcająco, ale dziewczynka tylko skinęła niepewnie głową. – Więc co tam czarujesz?

Zawahała się, zmierzyła ją wzrokiem i Julia mogłaby przysiąc, że nieco się skrzywiła, jednak ostatecznie uniosła pojedynczą kartkę tak, by mogła przyjrzeć się bliżej obrazkowi.

– To księżyc – wyjaśniła, nie czekając aż kobieta sama spróbuje zinterpretować mieszaninę kolorów. – I „Człowiek z księżycą”.

– Ooo... – Julia pokiwała głową z uznaniem. Teraz, kiedy wiedziała, czego szukać, faktycznie mogła dopatrzeć się na kartce człekopodobnego kształtu. – Nasz Twardowski?

Dziewczynka zamrugęła, po raz pierwszy wykazując jakiegokolwiek emocje.

– Kto?

– No, Twardowski. Wiesz, ten co... – Wykonała bliżej nieokreślony ruch ręką, próbując przypomnieć sobie treść legendy. – Zawarł pakt z diabłem, że dostanie... coś tam czego chciał, ale nie może nigdy pojechać... chyba do jakiegoś miasta... ale tam też o jakiejś knajpie było... No w każdym razie za karę siedzi na księżycu – zakończyła dumnie, z przykrą świadomością, że w dziedzinie opowiadania legend właśnie poległa na całej linii. Patka poklepałaby ją teraz protekcyjnie po głowie, mówiąc „tak, tak,

mamusi, ja rozumiem”, co podłapała od Konrada i czego Julia by szczerze nienawidziła, gdyby nie było tak słodkie i rozczulające.

Obca dziewczynka tylko patrzyła na nią w milczeniu.

– To musi siedzieć na innym księżycu – stwierdziła, odkładając rysunek na kolana. – Mój „Człowiek z księżyca” mieszka sam.

– Yhm... – przytaknęła, nieświadomie opierając się mocniej o barierkę, by lepiej widzieć małą.

– I co on tam robi?

– Nic. – Wzruszyła ramionami. – Mieszka. Czasami ma dla siebie dużo miejsca, kiedy księżyc urośnie...

– Kiedy jest w pełni – poprawiła ją odruchowo, co zostało kompletnie zignorowane.

– ...a czasami bardzo mało, kiedy księżyc się kurczy. A kiedy znika zupełnie, wtedy „Człowiek z księżyca” zlatuje na ziemię, żeby odwiedzić swoich przyjaciół i czeka z nimi, aż odzyska dom.

Julia uniosła brwi. Jak żyje nie słyszała takiej historii, a biorąc pod uwagę, ile bajek dla dzieci przeczytała na głos przez ostatnie kilka lat, powinna się na coś takiego natknąć. Chyba że był to autorski wymysł dziewczynki – i ku tej opcji właśnie się skłaniała.

– I co wtedy? – zagaiła, przeczuwając już, w jaką stronę to zmierza. Kiedy była mała, wierzyła, że silny wiatr znosi pod jej dom statek piracki i sam kapitan prosi ją, by zechciała wejść na pokład. Wymyśliła więcej

swoich przygód jako piratki, niż Konrad wymówek, dlaczego tym razem się gdzieś spóźnił; a to już naprawdę poważna liczba. Podejrzała, że ma teraz do czynienia z czymś podobnym i poczuła przyjemne ciepło nostalgii. – Przylatuje po ciebie i macie razem różne przygody, czy coś?

Dziecko sięgnęło do pudełka, wyciągnęło niebieską kredką i przystąpiło do zamasztywego tworzenia tła dla swojego dzieła.

– Nie.

Julia poczuła się co najmniej zbita z tropu - i to bardzo delikatnie rzecz ujmując.

– A... A dlaczego nie?

– On nie jest moim przyjacielem. Nie chciał – wyjaśniła obojętnie, nie podnosząc nawet głowy. Dużo ciszej zaś dodała: – Nikt nie chce być moim przyjacielem.

W tym właśnie momencie Julia pierwszy raz w życiu zrozumiała, co tak naprawdę oznacza prawdziwy ból w sercu. Ból przeszywający całe ciało, sięgający daleko w głąb duszy, a przy tym tak realny, że niemal fizyczny. Ból z powodu obcej dziewczynki, z którą rozmawiała pierwszy raz w życiu, którą pierwszy raz widziała na oczy, której nie znała nawet z imienia. Która była tak samotna, że w poszukiwaniu towarzystwa stworzyła zmyślonego przyjaciela, ale nawet on nie był nią zainteresowany. Co musiała myśleć o samej sobie, by zrobić coś takiego? Jak bardzo musiała czuć się zdesperowana i bezradna, jak bardzo odrzucona, jak bardzo...

Nie zdołała otrząsnąć się z szoku, nim wychowawczyni nie pojawiła się znienacka obok, zgarniając dziewczynkę, by dołączyła do reszty

szukujących się do wyjścia dzieci. Zapamiętała jedynie, że na małą mówiła „Tosia”, a zaraz potem podniosła z ławki pozostawiony na niej rysunek. Człiekopodobny kształt na księżycopodobnej kuli. „Człowiek z księżycą”, który nie chciał być jej przyjacielem.

Kiedy tylko zamknęły się za nimi drzwi, drżącymi dłońmi wyciągnęła z kieszeni telefon, wybierając numer z pamięci.

– Konrad... – zaczęła, czując, że głos zaczyna jej się załamywać. – Konrad, ja cię proszę... – wychlipała, nie wyjaśniając niczego. – Ja cię tak strasznie, strasznie proszę...

I zanim zdążyła powiedzieć cokolwiek więcej, osunęła się po balustradzie, oparła czoło o kolana i zanosła się głośnym szlochem.

Julia miała pełną świadomość, że wychowanie drugiej córki będzie trudnym wyzwaniem. Patrycja miała zaledwie pół roku, gdy przynieśli ją do domu, ale i tak wyraźnie dała im odczuć każdy dzień, w którym nie doświadczała odpowiedniej opieki. Tosia miała lat pięć, w tym dwa spędzone w różnego rodzaju przytułkach, trzy nieudane próby adopcji za sobą i wystawioną przez psychologa długą listę zaburzeń. Jej rodzice zginęli w pożarze, z którego samo dziecko ledwo odratowano i Bóg świadkiem, że wszyscy liczyli, iż szybko zapomni o tym wydarzeniu. Niestety, wkrótce stało się jasne, że Tosia, na własne nieszczęście, pamięć ma wręcz perfekcyjną. To nie mogło być łatwe zadanie, takiego dziecka nie da się odczarować samą potęgą miłości i Julia miała tego pełną świadomość już w chwili, kiedy błagała Konrada, by ten chociaż spróbował ją poznać. Jednocześnie wiedziała jednak, że jeśli się tego nie podejmie, będzie żałować do końca życia.

Pierwsze spotkanie nie wypadło najlepiej. Bardziej pasowałoby określenie „kompletna katastrofa”. Konrad był sceptyczny. Julia spięta

do granic możliwości, zestresowana na samą myśl, że cokolwiek może pójść nie tak. Tosia, dla odmiany, nie była ani trochę zainteresowana jakąkolwiek wizytą. Wychowawczynie z wyraźnym trudem przekonała ją, by w ogóle zgodziła się wejść do sali przeznaczonej na spotkania dzieci z potencjalnymi rodzicami. Dziewczynka z miejsca zajęła się jednak sobą, w milczeniu zabierając się za ustawianie wieży z klocków. Po kilku nieudanych próbach zwrócenia jej uwagi, w akcie skrajnej desperacji Julia spróbowała przyłączyć się do zabawy. Kiedy usiadła obok, dziecko posłało jej niechętne, ostrzegawcze jakby spojrzenie i zgarnęło klocki bliżej siebie. Mimo wszystko kobieta odważyła się sięgnąć po jeden z nich.

– To moje – poinformowała mała ostrym tonem, marszcząc brwi. Wyglądała trochę jak dąsając się Patka i Julia odruchowo uśmiechnęła się przekornie.

– Pomogę ci – wyjaśniła, ostrożnie stawiając klocek na samej górze trochę już rozchwianej konstrukcji.

Najwyraźniej jednak zrobiła to źle (o ile można źle ustawić jeden kawałek drewna na drugim), bo dziewczynka wciągnęła gwałtownie powietrze, poczerwieniała, poderwała się z dywanu i z całej siły kopnęła budowlę. Kiedy opiekunka wynosiła ją z pokoju, krzyczącą i wyrrywającą się, Julia wciąż siedziała na dywanie, czując się tak, jakby sama została właśnie skopana. Konrad, dotąd przyglądający się scenie z bezpieczniej odległości, ukląkł teraz obok niej.

– Spróbujemy jutro – powiedział tylko, obejmując swoją roztrzęsioną żonę ramieniem.

Julia nigdy w życiu nie kochała go bardziej, niż w tamtej chwili.

Lekcja numer jeden: Tosia nie lubi, gdy ktoś dotyka jej rzeczy.

Dalej poszło już, dzięki Bogu, znacznie łatwiej. Wciąż co prawda zdarzały się nagłe wybuchy złości, z czasem jednak oboje nauczyli się je akceptować i nie brać do siebie każdego z nich. Konrad opisał dziewczynkę jako dzikie zwierzę, które potrzebuje czasu, by się oswoić, i jakkolwiek źle by to nie brzmiało, Julia musiała przyznać mu rację. Tosia była nieufna, drażliwa i trzymała się własnych, nieznanym nikomu zasad, nie było w tym jednak ich winy. Nie czuła się bezpiecznie z czyjąś bliskością, jednocześnie jednak bardzo jej potrzebowała i chwilami dało się wręcz dostrzec, jak bardzo rozdarła i zagubiona się czuje.

Kiedy pierwszy raz zabrali ją na weekend do domu, nie chciała wysiąść z samochodu. Julia spędziła dobrą godzinę na tylnym siedzeniu, powtarzając, że wszystko jest w porządku, gładząc ją po włosach, podczas gdy kiwała się rytmicznie w przód i w tył, stopniowo się uspokajając.

Kiedy w końcu szczęśliwie udało im się przekroczyć próg domu, nie było ani odrobinę lepiej. Patrycja, od tygodni przygotowywana na poznanie przyszłej siostry, wyrwała do przodu, próbując ją przytulić. Tosia odepchnęła ją, nim ktokolwiek zdążył zareagować, z taką siłą, że ta zatoczyła się w tył, uderzając głową w kant stołu.

W pokoju wybuchła panika. Patrycja zanosiła się płaczem i Julia ani odrobinę jej się nie dziwiła, z trudem panując nad własnymi nerwami. Rozcięta brew za nic nie chciała przestać krwawić i kolejne przesiąknięte chusteczki lądowały na podłodze, aż w końcu kobieta straciła resztki opanowania, zgarnęła przerażoną córkę na ręce i wybiegła przez taras do ogrodu, by okrążywszy dom dopaść samochodu i wyruszyć na pełnym gazie w stronę najbliższego szpitala. Nawet nie próbowała przy tym użyć frontowych drzwi - wrzucona w sam środek chaosu Tosia dostała nie

mniejszego napadu paniki i błyskawicznie rzuciła się w stronę wyjścia (na całe szczęście zamkniętego na klucz), czepiając się klamki z taką determinacją, że Konrad musiał siłą rozwierać jej palce. Gdy pół godziny później Julia wróciła z przekupioną już cukierkami i zapewnioną przez lekarza, że szwy tylko dodają jej uroku Patką, druga dziewczynka siedziała skulona w najdalszym rogu pokoju, kołysząc się rytmicznie, Konrad zaś zajmował kanapę, trzymając przy twarzy woreczek z lodem. Gdyby Julia nie zobaczyła tego na własne oczy, nigdy nie uwierzyłaby, że pięciolatka jest w stanie zadrapać kogoś tak dotkliwie. To, że dzieci potrafią kopać, bić i gryźć wiedziała z własnego doświadczenia, nigdy jednak nie sądziła, że mogą zrobić to na tyle mocno, by pozostawić tyle śladów.

Lekcja numer dwa: Tosia nie lubi, gdy ktoś obcy jej dotyka. I umie bardzo skutecznie się przed tym obronić.

Po trzech tygodniach od momentu, gdy oficjalnie wprowadzili dziecko do rodziny, Julia czuła się emocjonalnie przeżuta, strawiona i wypłuta z powrotem w sam środek piekła, jakie sama sobie zgotowała. Nie chodziło o to, że żałowała, naprawdę pokochała Tosię całym sercem i zrobiłaby dla niej absolutnie wszystko. Była jednak... zwyczajnie zmęczona. Sfrustrowana ciągłymi niepowodzeniami, przygnieciona myślą, że nie umie nad niczym zapanować, i, no cóż, po prostu obolała. Kiedy ich nowej córce zdarzały się napady lęku, potrafiła kopać, gryźć i drapać bez opamiętania, próbując wyrwać się z uścisku. Za którymś razem, zmęczona do granic możliwości, Julia po prostu ją puściła, powalając uciec za kanapę i przesiedzieć tam dłuższą chwilę, szybko jednak pożałowała tego, zauważając na przedramionach dziewczynki głębokie zadrapania. Zamknęła się w łazience, odkręciła wodę i osunęła się ciężko na podłogę, nie wiedząc nawet, czy płacze z bezsilności, czy raczej poczucia winy. Jaka matka pozwala, by jej pięcioletnie dziecko samo się okaleczyło? Jaka matka nie zauważa, że dziecko w ogóle ma ku temu skłonności?

Kochała Tosię od chwili, gdy ją poznała i zrobiłaby dla niej absolutnie wszystko. Po raz pierwszy zwątpiła jednak, czy ma dość sił, by być dla niej matką.

Lekcja numer trzy: choćby nie wiem co, trzymaj Tosię blisko. Apteczkę trzymaj jeszcze bliżej.

Julia wzdrygnęła się, kiedy Konrad dezynfekował zadrapania na jej przedramieniu, nie powiedziała jednak ani słowa, mocno zaciskając usta. Nie odezwała się, kiedy partner przyłożył do zranionego miejsca cienki kawałek waty, ani nawet wtedy, gdy owinął ją bandażem, choć zrobił to nieco zbyt mocno i była pewna, że do końca dnia ścierpną jej palce. Wpatrywała się w milczeniu w podłogę, jakby miała nadzieję, że jeśli całkowicie odetnie się od świata, świat również da jej święty spokój. Chociaż na chwilę. Na godzinkę, może dwie. Wystarczająco, by spakować walizkę, odpalić samochód i uciec bardzo, bardzo daleko, gdzieś, gdzie nie ma zasięgu, gdzie po raz dziesiąty nie musiałaby wysłuchiwać „Let it go”, gdzie jej mąż nie przypałby obiadu, próbując jednocześnie smażyć kotlety i rozmawiać przez telefon, gdzie Tosia nie dostawałaby ataku paniki na widok dymu, a Patrycja nie wrzeszczałaby na siostrę „zamknij się!” (Julia nie miała pojęcia, gdzie się tego nauczyła, ale była pewna, że Konrad za to oberwie).

Konrad jeszcze raz uważnie obejrzał opatrunek (krzywy i zdecydowanie mało profesjonalny, ostatecznie jednak cała jego wiedza medyczna pochodziła z serialu „Doctor House”. W dodatku nie z oglądania go, lecz z narzekania, że robi to Julia), po czym westchnął ciężko i zajął miejsce na podłodze obok żony, opierając się plecami o pralkę.

– Wolisz porozmawiać z Tosią, czy z Patką? – zapytał, doskonale wiedząc, że równie dobrze mógłby kazać wybierać między dżumą a cholera. Kochał swoje córki nad życie, ale wychowywanie ich było czasem

niewolniczą katogą. Dla niego, przebywającego w domu między szesnastą trzydzieści a szóstą rano, co dopiero mówić o Julii, uwięzionej w ich prywatnym piekielku przez całą dobę.

Julia tylko wzruszyła ramionami.

– Co za różnica? – wymamrotała, obejmując rękami kolana. – To i tak nic nie daje. Jestem beznadziejną matką.

– Hej, nie mów tak. – Konrad zmarszczył brwi, zaniepokojony po równo samymi słowami i bezsilnością w głosie partnerki. – To nieprawda.

Odpowiedziało mu tylko prychnięcie, krótkie i niebezpiecznie zbliżone do siorbnięcia nosem.

– Nie? – Podniosła głowę, a jej broda zadrżała. – Konrad, ja sobie kompletnie nie radzę. Wczoraj przyłapałam się na modlitwie o to, żeby Tosia zaczęła gubić w końcu mleczaki, to może wreszcie przestanie wszystkich gryźć. Patka słyszała, jak klnę, i jestem pewna, że nie uwierzyła, że „kurwa” to taki egzotyczny owoc. Chodzę trzeci dzień w tych samych ciuchach. Śpię w nich, Konrad, bo nie mam siły się przebrać. A... A Patka chyba jest uczulona na ten nowy szampon. Tosia nienawidzi tych cholerynych płatków i zwała miskę ze stołu. Wytarłam mleko z podłogi twoją koszulą, przepraszam, leżała najbliżej, odkupię ci. I... – pociągnęła nosem, mrugając intensywnie, próbując powstrzymać łzy. – I czasem łapię się na myśli, że wszystko było dobrze, dopóki nie adoptowaliśmy Tosi. Nie chcę być na nią zła, Konrad, nie chcę, ale... ale czasem po prostu jestem tak zmęczona, że chciałabym, żeby zniknęła. Żeby obie zniknęły. I ty też...

Konrad bez słowa wysłuchał tego monologu. Słuchał, kiedy Julia wyrzucała z siebie wszystko, co leżało jej na sercu, słuchał, kiedy głos zaczął

odmawiać jej posłuszeństwa, słuchał nawet wtedy, kiedy kobieta już tylko szlochała. Kiedy nie była już zdolna do niczego prócz otwartego płaczu, Konrad bez słowa przygarnął ją do siebie, trzymając mocno w ramionach, kołysząc lekko, uspokajająco.

– Ciii... Już dobrze. – Wyszeptał, gdy Julia wczepiła się palcami w jego koszulę. – Jakoś to wszystko będzie. Jakoś sobie poradzimy.

I choć wiedział, że brzmi to jak pusty, tandetny tekst, był pewny, że Julia mu uwierzy. Ostatecznie bez względu na to, jak źle by między nimi było, zawsze wychodzili cało ze wszystkich problemów. Musieli tylko próbować odrobinę mocniej, starać się nieco bardziej, wytrzymać trochę dłużej. We dwoje, przedziej czy później, jakoś to wszystko ułożą.

Lekcja numer cztery: pozwól sobie mieć wątpliwości, ale nigdy im nie ulegaj.

Julia bardzo chciałaby powiedzieć, że mimo wszystko jej córki pokochały się od pierwszego wejrzenia, że z miejsca wytworzyła się między nimi jakaś mistyczna, siostrzana więź i połączyła je już na wieki wieków. W zasadzie nawet mogłaby to zrobić. Musiałaby tylko skłamać.

Po pierwszym fatalnym spotkaniu Patka bała się choćby zbliżyć do Tosi. Trudno było jej się dziwić – przez pierwsze półtora miesiąca starsza dziewczynka wyraźnie obawiała się absolutnie wszystkiego w swoim nowym domu i na każdy impuls reagowała w jedyny znany sobie sposób – agresją. Z czasem wyraźnie uspokoiła się, ataki zdarzały się coraz rzadziej i stopniowo opanowywała inne formy komunikacji. Nikt nie zdołałby oddać słowami radości, jaka wypełniła serce Julii, gdy Tosia po raz pierwszy się rozplakała. Nie wpadła w panikę, nie rzuciła się do ucieczki, nie zaczęła kopać i krzyczeć, nie mogąc się uspokoić, lecz zwyczajnie pociągnęła nosem raz,

drugi, a po chwili płakała już otwarcie, cicho i niepewnie, jakby z braku doświadczenia sama nie była pewna, czy robi to tak jak powinna. Był to zdecydowany krok w stronę lepszego i Julia miała wielką nadzieję, że nie ostatni.

Stopniowo wszystko stawało się lepsze. Prostsze. Spokojniejsze. Wszystko, z wyjątkiem relacji między dziewczynkami. Z początku Julia świadomie nieco izolowała je od siebie. Był to błąd, doskonale zdawała sobie z tego sprawę, ale Tosia była nieprzewidywalna, płochliwa i wpadała w szał z naprawdę błahych powodów, a Patka nigdy nie spotkała się jeszcze z tym, że ktoś po prostu nie potrafi opanowywać nawet podstawowych emocji. Tosia mogła krzyżeć i nikt jej za to nie karmił. Mogła bić innych i nie spotykała ją za to żadna kara. Mogła histeryzować z byle powodu i nikt nie pouczał jej, że to dziecinne. Julia nie miała pojęcia, jak wytłumaczyć jej, że siostra jest nieco inna, jak wyjaśnić, że Tosia nie chce zrobić nikomu krzywdy, ale po prostu nie umie reagować inaczej. Dzięki Bogu Konrad okazał się w tym znacznie lepszy i Patrycja chyba przyjęła do wiadomości, że sytuacja jest wyjątkowa i w związku z tym ich życie nieco się zmieni.

Z czasem, gdy starsza z dziewczynek wyraźnie się uspokoiła, Julia całkowicie zmieniła taktykę, dla odmiany starając się, by spędzały razem możliwie najwięcej czasu. Udawało się połowicznie - nie było już problemu, by przebywały blisko siebie, nie mogła jednak oprzeć się wrażeniu, że odbywa się to na zasadzie jakiegoś niepisanego traktatu o zachowaniu granic. Jeśli bawiły się klockami, każda budowała własną konstrukcję. Jeśli grały w grę, odzywały się tylko do rodziców. Układając puzzle, każda zajmowała się swoim kawałkiem układanki.

A potem Julia przyjrzała się temu bliżej i zaczęła dostrzegać szczegóły, które wcześniej umykały jej, przygniecione lękiem, że jej córki nigdy nie będą prawdziwymi siostrami. To, jak Tosia ukradkiem podsuwa Patrycji najfajniejsze klocki. Jak pozwala jej jawnie oszukiwać, a czasem wręcz

sama przesunie jej pionek do przodu. Jak przybiega do pokoju za każdym razem, gdy wydaje jej się, że młodszej dziewczynce dzieje się jakakolwiek krzywda (Patka wychodziła z założenia, że odmowa wydania ciastek przed obiadem jest niewątpliwą i ogromną krzywdą). Jak wodzi za nią czujnym wzrokiem, niczym dobrze wyszkolony ochroniarz.

Julia nie była do końca pewna, co o tym myśleć. Był to niewątpliwie bardzo, bardzo dobry znak, ale biorąc pod uwagę, jak bardzo zaskakująca bywała Tosia, wszystko wciąż mogło odwrócić się na ich niekorzyść. Póki nie poznała do końca jej intencji, wołała nie cieszyć się przedwcześnie.

Nadal jednak należało odnotować niewątpliwy postęp w relacjach międzyludzkich, więc kiedy Lidia zaprosiła obie dziewczynki na urodziny swojego syna, Leona, Julia była z tego więcej niż zadowolona. Tosia zdecydowanie powinna zacząć oswajać się z innymi ludźmi, zwłaszcza rówieśnikami, Marcin i Lidia byli zaś na tyle wtajemniczeni w jej sytuację, że ewentualny atak złości umieliby im z miejsca wybaczyć. Nie byli ludźmi z parkingu przed supermarketem, do którego Julia zabrała Tosię raz, by potem przepłakać godzinę w domu opowiadając Konradowi, jakim wzrokiem patrzyli na nią, gdy próbowała wpakować wrzeszczącą dziewczynkę do samochodu.

Wszystko szło lepiej, niż przewidywała. Lepiej nawet, niż w głębi ducha sobie nieśmiało wymarzyła. Tosia z początku wczepiła się w nią ze wszystkich sił i za nic nie chciała dołączyć do hałasującej wesoło bandy dzieciaków, ostatecznie jednak nieco się ośmieliła, a nawet dołączyła do kilku najspokojniejszych zabaw. Płaczu przy „rozbijaniu piniaty” Julia nie mogła mieć za złe żadnej ze swoich córek, tym bardziej, że sam Leon przytulił papierowego konia chlipiąc, że odda każdemu, kto uderzy jego nowego przyjaciela.

I właśnie wtedy, kiedy wszystko szło możliwie najlepiej, na scenie pojawił się problem, którego nie przewidziała, choć zdecydowanie powinna. Mówiąc dokładniej - problem został wniesiony do ogródka przez uśmiechniętego szeroko Marcina. Kolorowy, lukrowany tort. A na nim pięć zapalonych, dużych świeczek.

W ciągu jednej sekundy Julia zdążyła przypomnieć sobie wszystkie przekleństwa, jakie poznała przez całe życie. Jak mogła być tak głupia i nie wspomnieć o tym, jak panicznie Tosia boi się ognia? Jak mogła zapomnieć o tym, jak do krwi podrapała Konradowi ręce, gdy zapalił w domu świeczkę? Jak mogła wyprzeć z pamięci przerażenie w jej oczach i długie godziny potrzebne, by ją uspokoić? Jak mogła zapomnieć, skąd wziął się ten lęk?

Dzieci pisnęły z uciechy i rzuciły się, by zobaczyć tort z bliska, ale Julia widziała już tylko Tosię. Jej bladą twarz, szeroko otwarte ze strachu oczy. Słyszała, jak wciąga głośno powietrze, wyczuła nagłe napięcie jej mięśni. Wyciągnęła ręce, by złapać ją, kiedy rzuci się do ucieczki, ku jej zdumieniu dziewczynka ruszyła jednak biegiem... w ślad za innymi dziećmi.

Dopadła Patrycji z takim impetem, że rzucając się jej na plecy powaliła ją na ziemię. Patka z miejsca wybuchnęła płaczem, bardziej chyba przestraszona i zdezorientowana niż obolała, ale im bardziej miotła się, by zrzucić z siebie siostrę, tym bardziej ta wczepiała się w nią, przytrzymując w miejscu.

– Nie! – wrzasnęła przejmująco Tosia, kiedy Julia doskoczyła do nich, z pomocą Konrada rozdzielając dziewczynki. – Nie! – powtórzyła głośniejszym głosem, gdy matka wzięła ją na ręce i trzymając mocno wniosła do domu, daleko od pozostałych.

– Już dobrze, już jest dobrze. Jesteś bezpieczna, już nic się nie dzieje... – powtarzała Julia w kółko, przyciskając dziewczynkę mocno do piersi, choć wyrwała się i wierzgała jak jeszcze nigdy. Nie miała pojęcia, co innego mogłaby jej powiedzieć, w jaki inny sposób ją uspokoić, skoro nie rozumiała nawet, co tak naprawdę się wydarzyło. Zaciśnęła powieki, opierając czoło o kark dziecka i właśnie wtedy, jakby w przypiływie nagłego natchnienia, wyszeptła: – Patka też jest bezpieczna.

Dziewczynka momentalnie przestała się wyrwać.

– Już, już... – Wykorzystując chwilę spokoju Julia odwróciła ją w ramionach tak, by mała mogła oprzeć głowę o jej ramię. – Nic jej nie jest. Tobie też nie. Nigdy nie pozwolę, żeby coś wam się stało. – Tosia uniosła nieco głowę, patrząc na nią dużymi oczami, po czym gwałtownie zarzuciła jej ręce na szyję, wybuchając płaczem. Julia momentalnie przytuliła ją mocniej, kołysząc uspokajająco.

– Ona nie może umrzeć... – wychlipało dziecko. – Nie może. Mama umarła... I tata też... Ale ona nie może. Już nikt nie może!

– Szszsz... – Julia zakotłosała nią mocniej, niepewna, czy będzie w stanie powiedzieć cokolwiek sensownego przez ściśnięte gardło. – Nie umrze. Obiecuję ci. – Poglądziła ją delikatnie po włosach. – Chciałaś ją ochronić, prawda?

Odpowiedziało jej siorbnięcie nosem i skinienie głową.

– Chciałaś ją ochronić, chociaż bardzo się bałaś. Pobiegłaś ją ratować. Jesteś bardzo odważna, skarbie.

Kolejne pociągnięcie nosem.

– Powiedziałaś, że będzie moją młodszą siostrzyczką. – Głos Tosi był stłumiony przez łzy, ale Julia i tak wychwyciła każde słowo. Nigdy jeszcze nie słuchała nikogo i niczego tak uważnie. – Obiecałaś, że będzie.

– Jest, maleńka. Jest twoją siostrzyczką.

– Nie lubi mnie – rozpląkała się na nowo i Julia poczuła, że i jej powoli zbiera się na łzy. – Mnie nikt nie lubi. Bo robię złe rzeczy, chociaż wcale nie chcę. I jestem dziwna. I.. i...

– Szszsz... Nieprawda, skarbie. Nieprawda. Ja cię lubię – zapewniła, starając się włożyć w te słowa całą siłę, jaką tylko w sobie znalazła. – Konrad cię lubi. Patka też cię polubi, obiecuję. I wcale nie jesteś dziwna. I nie jesteś zła. – Jeśli to możliwe, przytuliła ją jeszcze mocniej. – Jesteś naszą małą córeczką. Naszą kochaną, cudowną córeczką. I bardzo, bardzo dzielną starszą siostrą.

Tosia nie odpowiedziała, wtulając tylko twarz w jej ramię i płacząc cicho powoli dochodziła do siebie.

Lekcja numer pięć: Tosia kocha swoją nową rodzinę. A nowa rodzina kocha ją.



XXVI Konkurs Literacki
Krajobrazy Słowa

Bogdan Nowicki

Godło „Rudzik”

III nagroda w dziedzinie prozy

Bogdan Nowicki

Doktor nauk humanistycznych; literaturoznawca, krytyk literacki, eseista i prozaik. Interesuje go kondycja człowieka w tzw. epoce postnowoczesnej, a także jego relacje z naturą oraz utraconą Transcendencją. Publikował m.in. w „Twórczości”, „Toposie”, „Odrze”, „Akcencie”, „Akancie”, „Wyspie”, „Opcjach”, „FA-arcie” i „Śląsku”, z którym współpracuje jako recenzent. W tym miesięczniku ukazał się fragment jego powieści „Przyciąganie ziemskie”. Członek Górnośląskiego Towarzystwa Literackiego. Autor książki o Brunonie Schulzu „Konduktor wagonu sypialnego” oraz tomiku poetyckiego „Centaurowo”.

Trolle

Jestem oplatany przez sieć.

Czytałem opowiadania Steda. Wracałem do młodości, zwłaszcza przy opowiadaniu, kiedy utyka on pod Annopolem i tapla się w rzece, bo skwar niemiłosierny – taki jak był tego lata, i wieś, i stodoła, i wolność, co jest przekleństwem, bo skoro można iść tam czy siam, to właściwie idzie się nigdzie, donikąd, do nikogo i do niczego. Że bez celu, to małe piwo, że bez szansy na ten cel, to już jest problem.

Wtedy pozostaje tylko/aż opowieść, coś o czym pisałem przy okazji Becketta, ale u Steda jest to zupełnie inna opowieść, inny jej miąższ. Soczyste opisy tego co elementarne, najpierwotniejsze, bezsłowne, samo w sobie, jednak z naskórkiem percepcji narratora, który widząc to, co widzi, chce przeniknąć powłokę widzialności, tego czegoś, co zasłania on samym sobą.

Rozpoczyna się wyluskiwanie z otoczenia chwil mistycznych, kiedy patrzy się inaczej, bo nie tyle na zewnątrz, lecz ku przeczuwanej poza tym, co zewnętrzne, Transcendencji. Ku, jak to nazywał Sted, całej jaskrawości. Kiedy jest Się. Bez podmiotu, bez ego, bez pamięci poczęcia i kresu. To nie buddyzm, to sensualność mistyczna, materia obecności jeszcze istniejąca bez języka i potrzeby jakiegokolwiek wyrazu. Bez jakiegokolwiek tożsamości.

Snujące się zdania mają coś z gawędy, są gawędzeniem samoistnym, nie potrzebującym żadnego gawędziarza, który by je i tak wywiódł na manowce stylu. Uporządkowanej werbalizacji, która ma się nijak do rzeczywistości. I tutaj Sted nie potrafi się wykaraskać z konfliktu pomiędzy własną

stedomanią a jej zaprzeczeniem, czyli niemotą. Pragnie lewitować, a jednocześnie być tego lewitowania pasterzem. Kimś, komu ciągle stoi kością w gardle Ja. A przecież bez tego Ja nie istniałby nawet jako Nikt, bo czemu by wtedy zaprzeczał, skoro nie byłoby jego jako jego? Jednak Sted jest autorem obrotnym, oczywiście do czasu, kiedy zawładnie nim obłęd, nie daje się tym spekulacjom podporządkować, trzyma je na dystans, jak trzyma się na dystans pustkę kosmosu. Pustkę, która trawi jedynie samą siebie.

Jestem opłatany przez sieć.

Tyle kabli jeszcze mnie nigdy nie motało. Kabel od kuchenki elektrycznej, od grzejnika olejowego, od laptopa elektronicznego, od komórki doładowywanej co świt, no i kable od urządzeń już nieużywanych, zakurzonych, martwych, zbędnych.

Okablowane są także ściany, tylko innymi rodzajami przewodów, a mianowicie zaciekami, wysiękami, zalewami, schnącymi tu i ówdzie na płatach tynku. Sufit trzeszczy, główne pęknięcia rozgałęziają się w mniejsze, tworząc zatory i zakrzepy. Podłoga to teren wydeptanych ścieżek pomiędzy rozlatującymi się meblami, piętrzącymi się gratami niewiadomego przeznaczenia, stertą pierzyn, kołder, brudnych ubrań, pustych flaszek i śmieci. Trzeba nabyć nie byle jakich umiejętności, aby poruszać się w tym gąszczu wciąż gęstniejącym, zamieniającym się w pęczniącą pakułę. Pakułę, która jak mniemam pochłonie i mnie. Tymczasem obserwuję to, co nieodwracalne. Nieuniknione, w czym ciało flaczeje, staje się pełzającą plamą pomiędzy kablami.

Tak jest na zewnątrz, dokoła mnie, leżącego na starym tapczanie. A co w środku, wewnątrz, pod swędzącą, niemytą skórą, za paznokciami, za uszami, między odleżynami i włosami dzielonymi na czworo. Trzęsawisko, ziejące trującymi oparami! Butwiejące.

Kiedy wczoraj szedłem uwiedziony dymem światła na liściach – pomiędzy strefą starego Chropaczowa i Lipin, gdzie raki zimują, zobaczyłem te wysokie przedwojenne kamienice, bezludne, splądrowane, dziurawe na wylot sienie, piętra, okna i strychy, przez jakie widać było ulicę, drzewa i krzaki, i cmentarz, i stragany, a czego wcześniej widać nie było, bo stały drzwi, wisiały firanki w oknach, szyby dźwięczały, połyskując jak woda na stawie – wtedy wywiało mi ostanie ciepłe skrawki spod żeber, przeniknął mnie dreszcz i coś, co już przeżywałem.

Kupiłem piwo i usiadłem na schodku. Przejechał rowerzysta, przeszło dwóch dresiarzy, zapytali o peta, ale ja nie palę, więc nie miałem ich czym poczęstować, zerknęli spod kapturów i poszli dalej. Na pieńku, mając za plecami zdewastowany ogród, siedział chuderlawy żul, czekał na butelkę po piwie, a może i na to, że zostawię mu ozdowieńczego łyka. Wiem, jak to jest czuć żelazo w ustach zamiast śliny. Więc kiwnąłem do niego ręką, lecz on nie zareagował. Siedział, jak siedział. Czekał. Światło zrobiło się puchowe. Sprawdziłem w kieszeniach, czy mam jakie drobniaki. Dwa dwadzieścia. Żubr był po dwa dziewiętnaście, więc starczyłoby w sam raz. Oczywiście z wymianą butelki. I tak dziador nie dostanie ani łyka, ani butelki. Odszedłem sprężystym krokiem, nie oglądając się za siebie.

Już było mi dobrze, to znaczy znośnie. Zrujnowane kamienice nabrały powietrza i światła. Ażurowego polotu. Kruchości i powabu. Czuję się w nich bezpiecznie. Nikt tutaj nie zaglądał, bo nie było już czego ukraść. Wszędzie leżały albo zwisały z murów długie nie kable, lecz gumy po miedzianych przewodach. Gumy rozerwane, niczego już nie okrywające. Żyły bez krwi. Nagle usłyszałem szuranie w bramie. Zapuściłem tam żurawia, ciekawy, kogo tu licho przygnało. Zobaczyłem Richarda, wrywającego sprężyny z rozprutej wersalki. Klął przy tym cicho, do siebie. Gdy mnie zauważył, uśmiechnął się tym swoim łobuzerskim uśmiechem, od jakiego aż się robiło ciepło na sercu. Sięgnął po Macieja,

litrowe mocne piwo w plastikowej butelce i zrobił zamaszysty łyk. Teraz zapaliły mu się oczy. Wyglądał jak dziadek mróz, tyle że w czarnej kufajce i chudszy od szpilki do włosów. Poczęstował mnie swoim napojem. Po tem zerwaliśmy całą sprężynę. Zwinęliśmy ją, czyli coś, co już i tak było zwinięte, wpakowali to do brezentowego worka, który Richard sprawnie zarzucił sobie na plecy i poszliśmy po piwo.

Stańto na dwóch Maciejach, bo było taniej i mocniej. Gdy tak popiliśmy swój nektar, siedząc na starych taboretach, w zeschniętych zaroślach, zobaczyliśmy dwóch młodych mundurowych. Mignęli nam między sienią a dziurawym murem. Zauważyli nas czy nie? Jednak tak, bo skierowali się w naszą stronę. Piwo ugrzęzło nam w gardłach. Każdego można się było tutaj spodziewać, tylko nie ich. Przedstawili się. Byli z komendy katowickiej. Niesłychane. Przeczesywali teren. W gruzach znaleziono kobietę bez głowy. Kilka dni temu. Szukali jakiegoś śladu. Spisali nas, pouczyli i odeszli.

Piliśmy w milczeniu, zastanawiając się, czy to mogła być ta frela, o której myśleliśmy, że jest. To znaczy ta, której już nie ma. Wtedy z drugiego piętra kamienicy poleciały łódeczko, kołyska i wózek dziecięcy. Za tym pościel i inne szmaty. A teraz stół, pomyślałem. I tak też się stało. Wyleciał z okna na podwórze duży, kuchenny stół. Zanim rozbił się o ziemię pomyślałem, że już ubiegłej zimy zbierałem jego szczątki na opał. Richard poklepał mnie po plecach, co oznaczało, że czas na nas. Wysikaliśmy się na zzamszowiały pień. Dobrze było, dobrze niż lepiej. W brzuchu motylki, a na twarzy ukojenie. Miękkki szal wilgoci na szyi. Trzeba korzystać z ostatnich ciepłych dni. Pożegnaliśmy się tam gdzie zawsze i on poszedł w swoją stronę, a ja w swoją.

O tej porze lubiłem Chropaczów najbardziej. Zmierzchało, choć na dachach było jeszcze jasno. Trzypiętrowe ceglaste familoki zwały się, to znów rozszerzały od przeciągów między placami i wąskimi przejściami.

Uliczki były zaścielone liśćmi. Chodniki gołębimi odchodami. Na parapetach wietrzyły się jeszcze pierzaste poduszki, kołdry, pierzyny. Ale i tak więcej było w oknach starych bab, z trwałą na głowie, które wypatrywały teren, wypatrywały tak zachłannie, że dla innych niewiele już pozostawało miejsca. Skuliłem się mimowiednie. Zahaczyłbym jeszcze o piwko, ale nie miałem grosza. Przystanąłem. Zastanawiałem się. Może zajrzę do Bogusia na działkę. Może wydębię cztery czterdzieści na dwa browary. Butelki miałem przyczajone tam, gdzie zwykle. Na czarną godzinę. Uśmiechnąłem się cynicznie, choć chciałem uśmiechnąć się stoicko. Czarna godzina jak długo może trwać? Dni, tygodnie, miesiące, lata.

Boguś był biały od pyłu, schowany za maską i okularami. Rzeźbił w kamieniu, który teraz szlifował. Z bryły wyłaniały się dwie postacie w uścisku, a pomiędzy nimi wił się wąż. Muzeum miejskie chciało mu zafundować salkę na rzeźby, lecz on się uparł, że nie, że dopiero po śmierci. Ucieszył się na mój widok, czego bardziej się domyśliłem, niż zobaczyłem. Powiedziałem mu w kilku słowach o moim problemie. Odłożył szlifierkę. Pogrzebał w kieszeni. Dał mi piątaka. A potem wrócił do swego zajęcia. W oczku wodnym na środku działki zobaczyłem dwie czerwone ryby, które z trudem, wypływając na powierzchnię, zasysały powietrze. Zupełnie nic o mnie ani o Bogusiu nie wiedziały. I tak już miało pozostać. I nikt nigdy tego nie zmieni. Może to były te słynne Stedowskie leje? Leje, które Ludowa Spółdzielnia Wydawnicza wydała mu jako opowiadania w nakładzie dziesięciu tysięcy (plus trzysta pięć) egzemplarzy. Który to już był mój browar dzisiaj? Na pewno nie pierwszy. Któryś.

Latarnie dawały znać o sobie. I żółte, nie białe, światło w izbach. Pora na chropaczowskie peryferia, na wyjście na obrzeża tego, co oświetlone. Poza scenę, w zanadrze. W skrytość. Wzdłuż sztachet przesuвам się za ostatni budynek. Otwiera się pole zarośniętych hałd. Ciemność, żelazista woń i mgliste gwiazdy. A może mleczne ząbki wszechświata. Idę lekko

zamroczony. Opóźniony w rozwoju język nie chce mi niczego powiedzieć, tylko mamle w kółko to samo, a że to jest hałda, a że była tu kopalnia, a że to miejsce nazywa się Ajska, a że tam rośnie dziki sad, a że to, co czuć to są gnijące, kwaśne jabłka, a że jak się pije, to się je, a że w głębi widać kontur szkoły podstawowej, a że za nieką te światełka tam, to jest Orzegów, a że już od płotu truchta za mną zmierzwiony kundel, a że wabi się Groszek i kiedyś nakarmiłem go boczkim, a że ten głaz, na jakim zawsze tu siadam, leży na swoim miejscu. Do odwołania nigdzie się stąd nie ruszy. Siadam więc. Zaciskam wargi, aby język przestał już paplać. Teraz przeniosło się pod czaszkę i tam papple w najlepsze, nic sobie nie robiąc z mojego chcenia czy niechcenia tego paplania. Jeszcze jedno, dwa piwka, a będzie koniec z tą paplaniną, która stanie się rechetem.

Gdzieś tam na końcu peryferii, a gdzie zaczynają się kamieniczki niskie, ale za to szersze, bardziej przysadziste, co powoduje naturalne zwężenie ulic, niebędących już ulicami, lecz uliczkami, a właściwe przesmykami między ścianami umorusanymi sadzą, mieszka mój były uczeń, któremu nieraz pomagałem, jak był w wielomiesięcznym cugu, a teraz ponoć się ustatkował. Idę do niego, drepcząc po żuźlu. Mijam jakąś willę ze złymi psami (tak jest napisane na tabliczce wywieszanej na solidnej metalowej bramie). Skąd tu willa, nie mam pojęcia, nie pamiętam jej. Ale już się kończy posesja ogrodzona betonowym płotem. Już widać zza krzaków i drzew niskie kamieniczki, przywarte jedna do drugiej, jak sierotki, jak bękartki nie wiadomo czyje, więc niczyje. Cisza, że makiem zasiał. I ciemno. Tylko łuny światła płynące z willi odbijają się to tu, to tam. Idę, a raczej przesuвам się przez te eksmisje. Pusto, znam tę głuchość pustych izb ogłuszonych sobą. Wrzucasz kamyk do studni, do wyschłej studni, nic nie dudni, tylko echo. Hop, hop, jest tam kto? I z drugiej strony to samo, hop hop, jest tam kto?

Zrezygnowany włóczę nogami. I wtedy słyszę nie słuchem, lecz całym ciałem jakiś szum, jakieś miękkie stukanie. O tam, gdzie pod samym

dachem, za małymi, zasłoniętymi kotarą okienkami migają nikłe, żółte plamki światła. Wspinam się po starych, lepkich, trzeszczących schodach, wąskich i krętych. Stukanie narasta, zbliża się ku mnie. Jeszcze tylko pchnąć te niskie drzwi. Wchodzę. Cały strych jest zastawiony stoliczkami, tonącymi w kablach. Na nich stoją komputery, które obsługują młodzi, zadbani ludzie, siedzący na okrągłych taboretach. Wszystkie twarze zwracają się w moją stronę. Trochę zdziwione, zaciekawione, lecz po chwili obojętne. Ręce powracają na klawiaturę, wzrok na ekran. Do swojego zajęcia. Stoję jeszcze chwilę, potem zbiegam na dół. I wybiegam na dwór. Wtedy mnie nachodzi, nachodzi mnie zawsze po wódce, nigdy nie po piwie, więc czuję się tym bardziej zapętlony. Parapety wokół mnie zwisają, jak wołowe ozory. Szyby w oknach są wybrzuszone. Natknąłem się na gniazdo trolli, ale już po chwili nie pamiętam, w którym to mogło być miejscu. Skoro nie ma już żadnego miejsca.



XXVI Konkurs Literacki
Krajobrazy Słowa

Małgorzata Mazana

Godło „nimende”

Wyróżnienie w dziedzinie prozy

Małgorzata Mazana

Ukończyła etnolingwistykę na Uniwersytecie im. Adama Mickiewicza w Poznaniu. Po obronie pracy magisterskiej wyjechała na Tajwan pogłębiać znajomość języka chińskiego. Jest matką dwójki dzieci i całą rodziną oczekują narodzin trzeciego. Nie pracuje zawodowo. Kończy studia podyplomowe z edytorstwa na Wydziale Filologii Polskiej Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza.

Babcia jest osobą wierzącą

Moja babcia jest osobą wierzącą. Ale nie we mnie. Wierzy w Boga. Ja też w Niego wierzę. Rozmawiam z Nim często i wołam do Niego: „Daj mi poznać swoją wolę. Co mam począć z babcią?”. Czy mam po chrześcijańsku odwiedzać babcię, robić jej zakupy, wozić do lekarza? Ile czasu tygodniowo na te czynności przeznaczać? Jak wiele godzin? Czas przecież nie jest z gumy. Ja się kończę. Ja się skończyłam, zanim na dobre się zaczęłam.

Bóg odpowiada znakami. Trzy dni z rzędu jestem u babci – w Wielkim Tygodniu, tuż przed Niedzielą Wielkanocną. Babcia jest przeziębiona. To znaczy: taką diagnozę podała babci lekarka. Według babci to jest coś więcej: umiera.

Krzyczy na mnie, że jestem bez serca: tylko się łagodnie uśmiecham, jakby tu było coś do uśmiechania się. W domu zadaję Bogu pytanie: „Boże, Ty wiesz, że byłam trzy dni pod rząd u babci, choć było mi nie po drodze, choć babcia była nieznośna. Czy muszę jechać do babci jutro? Nie chcę! Nie pojedę! Ale niech się stanie Twoja wola. Daj mi jakiś znak, co uważasz”.

Rankiem w Wielki Piątek budzę się z poczuciem ulgi: dziś nie pojedę do babci. Moja córka gorączkuje. Cudownie: dziecko zachorowało, nie mogę jechać do babci opiekować się nią, bo muszę opiekować się córką. Po dobre gorączka dziecka mija bez śladu, a z nią i cała choroba.

Nie wierzę babci w jej umieranie. To znaczy nie całkowicie. Bo coś

w tym jest: odkąd się rodzimy, zaczynamy umierać. Ale niektórzy umierają bardziej ostentacyjnie. Babcia umiera odkąd pamiętam. Mam 35 lat. Moja mama mówi mi, że babcia umiera jeszcze dłużej – odkąd ona pamięta. Mama ma 59 lat.

Moja mama nie odwiedza babci. Oświadczyła, że nie weźmie do siebie starej matki, ponieważ nie wierzy w Boga i nie chce pokutować za życia. Nie wierzy w piekło po śmierci, tylko w ciała pośmiertnie w proch i pył zmienione. Źle jej z tym, że zniknie po tym życiu, to prawda. Tym bardziej nie widzi sensu zamieniać je w piekło na ziemi – opiekując się babcią.

Wspomniałam, że się skończyłam, zanim się na dobre zaczęłam. I że babcia we mnie nie wierzy. Te dwie sprawy mają ze sobą wiele wspólnego. Tylko te dwie rzeczy musicie o mnie wiedzieć, więcej nie trzeba. Byłam ich świadoma od dziecka. Świadomość tych dwóch rzeczy dawała mi przewagę nad innymi dziećmi, bo umiałam cieszyć się małymi rzeczami. I nie byłam zbyt ambitna. Papież Franciszek oświadczył, że nie wierzy w triumfalizm. Triumfalizm wydaje mu się zawsze mocno podejrzany. Prawdziwe życie toczy się na krzyżu.

I ja mam obecnie swój krzyż, który waży i przygniata: babcię. Babcia nie wychodzi z domu i ma żal, że nikt z nią nie chce zamieszkać. Każdy normalny powie, że to nienormalne: cała rodzina w Poznaniu, dwie córki, zięciowie, kilka wnuczek i nikt z nią nie chce zamieszkać. Moja mama – co już wiemy – nie wierzy w Boga, albo (w najlepszym razie) wątpi, więc nie pisze się na uczenie matki swojej. Moja ciocia, siostra mamy, w Boga wierzy mocno, ale wzięłaby babcię do siebie, gdyby babcia była inna. Tymczasem zmusza się, żeby przyjeżdżać do babci, bo często jest zmęczona (nienawidzi swojej pracy), a większość jej wizyt u babci kończy się awanturą. Moja kuzynka mieszka najbliżej babci, 5 minut drogi samochodem – nie ma męża, nie ma dzieci, pracuje do późna. Babcia uważa,

że wnuczka jeszcze by skorzystała na mieszkaniu z kimś bliskim, bo teraz przecież mieszka sama. Kuzynka jednak zrobiła bilans życia, że w wieku 35 lat miała mieć w domu męża i dwoje dzieci, a nie niedołączną babcię. Dość ma swoich dolin, babci doliny jej niepotrzebne. Uczynki miłosierdzia czyni wobec babci w ramach zdrowego rozsądku.

Ja przekraczam granice zdrowego rozsądku, bo adoruję Chrystusa, który nigdy nie kalkulował. Opowiadam zatem babci, że pytam Boga o zdanie w najdrobniejszych sprawach. „Nie zawracaj Mu głowy błahostkami” macha ręką babcia. „Po to dostałaś rozum, żeby rozeznawać sama”. Odpowiadam, że gdybym kierowała się zdrowym rozsądkiem, nigdy bym do babci nie przyjeżdżała, chyba oczywiste, prawda?

Babię najczęściej odwiedzają w końcu mocno wierzący, praktykujący katolicy. Mają w sobie coś z szaleńców, apostołów kulawej miłości. Babcia ich dar czułości okalecza, ale fakt jest taki, że oni sami – jako ludzie – mają niewiele do zaoferowania. Do babci najczęściej przychodzę ja, moja ciocia – córka babci – oraz jej rodzona siostra, ciocia Marysia. Rodzona siostra była przez dwadzieścia lat w klasztorze, od osiemnastego roku życia do trzydziestego ósmego. Pierwszą myślą, kiedy przestąpiła próg zakonu, było poczucie, że jest na właściwym miejscu. Drugą: „w końcu nie ma Bogdzi!”.

Bogdzia (bo babcia ma na imię Bogumiła) nie ma dobrego zdania o swojej siostrze. Co prawda rzadko o kim ma dobre zdanie, ale o Marysi ma jak najgorsze. Nie zna człowieka, który byłby tak mało obdarowany przez Boga. Właściwie: nie mało, a w ogóle. Brak gustu, brak zdolności do nauki, Marysia na niczym się nie zna i niczym się nie interesuje. Jest po prostu przeciętna, przeciętna do cna.

Oponuję: „Ciocia pisze piękne listy, robi pyszną szarlotkę, prześlicznie śpiewa, dużo czyta mistyków katolickich...”

„O!” wykrzykuje babcia „Listy piękne to ona pisać umiała. Takie piękne listy pisała z klasztoru: „Kochana Siostrzo!”. A potem co? Jak wyszła z klasztoru, to mi powiedziała, że mnie nienawidzi, bo zawsze byłam gwiazdą w rodzinie, ulubienica mamy, ulubienica taty; że ona jedzie na drugi koniec Polski na KUL, żeby nam pokazać! I co jej wyszło z tych planów? Guzik jej wyszło!”.

Babcia pokazuje triumfalny gest Kozakiewicza. A potem uściśla, że ciocia pyszną szarlotkę robiła według przepisu babci; prześlicznie nie śpiewała, tylko piała, a oprócz ładnego śpiewu trzeba mieć jeszcze dar pięknej prezencji na scenie, którego ciocia nigdy nie miała; i owszem czyta mistyków, bo była zakonnica, do czegoś to zobowiązuje, ale nawet w klasztorze do niczego się nie nadawała – ani na przedszkolankę, ani na katechetkę, ani do pracy biurowej...

Babcia jest nieznośna, kiedy pomniejsza zasługi innych. Kto to zniesie? Ci, którzy ćwiczą się w wyrzekaniu się swego ego. Chrześcijanie. Mam zatem idealne ćwiczenie z wyrzekania się swojego ego. Czymże jesteśmy, jak tylko nieużytecznymi sługami?

Bo babcia nie poprzestaje na swojej siostrze, która mieszka niedaleko, dzwoni codziennie i martwi się o swoją starszą siostrę. Zresztą: ta zdaje się nie nienawidzić babci Bogusi w ogóle. Choć wydaje się, że mogłaby mieć powody. Babcia narzeka na ciotkę, ciocia każe nam – słuchającym litanii narzekań – jej wybaczać.

Babcia nie oszczędza i mnie. Wie, że lubię pisać. Zapisalam się na studia podyplomowe i chodzę codziennie na bezpłatny staż do studia graficznego. Babcia wydzwania do mnie w godzinach pracy i denerwuje się, kiedy nie odbieram. Oddzwaniem w drodze powrotnej z wydawnictwa.

– No i czemu nie odbierałaś? – pyta babcia.

– Pracuję. Uczę się. Zapisalam się na staż, mówiłam ci.

– Jak „pracujesz”? Przecież nie zarabiasz!

– Teraz nie zarabiam, ale może to się niedługo zmienić.

– Ile to potrwa? Do kiedy masz to zamiar ciągnąć?

– Oby jak najdłużej. Dopiero zaczynam. Jak skończy się ten staż, to zapiszę się na kolejny. Zbieram doświadczenia.

Babcia nie wierzy, że zacznę zarabiać. Dotychczas siedziałam z dziećmi w domu. Do takiego stanu rzeczy przyzwyczała się babcia. Kiedy dzieci poszły do przedszkola, nadszedł czas na spełnianie marzeń. Mąż ma stałą pracę w banku, zarabia, ja mogę iść za głosem serca.

A jednak muszę sobie odpowiedzieć na pytanie praktyczne: opieka nad babcią czy spełnianie marzeń? Bo obu tych rzeczy – zdaje się – nie da się pogodzić. Babcia co prawda mówi, że oczywiście, że się da. Są takie osoby, które godzą opiekę nad dziećmi, pracę zawodową i opiekę nad niedołązną babcią. Ja co prawda nie znam takich osób osobiście, babcia tym bardziej nie, bo od lat nie wychodzi z domu, ale zapewnia mnie, że takich osób jest dużo na tym świecie.

Mąż pracuje w tygodniu w Warszawie, a mieszkamy w Poznaniu. Wyjeżdża we wtorek o czwartej nad ranem, a wraca w piątek wieczorem. Zostawia mnie z naszymi dziećmi, moim stażem i moją babcią. Grupuję zadania według ważności. Dzieci na pierwszym miejscu.

Do zagospodarowania wolnego czasu zostają babcia i marzenia – w dowolnej kolejności. Mogę zająć się babcią i śnić sny na jawie lub wziąć

się za bary z marzeniami i ledwie myśleć o babci. Wtedy nawet myśleć czule. Coś trzeba zarządzić: babcia dzwoni do mnie w godzinach przeznaczonych na realizację moich marzeń. Często wtedy nie odbieram. Kiedy odbieram, denerwuję się, że odebrałam: czas ucieka.

– Przyjedź, Gosiu, bo nie mam chleba.

– Nie mogę teraz, babciu.

– Dlaczego nie możesz? Co masz teraz do roboty? Dzieci przecież jeszcze są w przedszkolu.

– Nie mogę, bo piszę.

Babcia odradza mi stawiania wszystkiego na jedną kartę.

– Ale ty nie wiesz, jak ja piszę – bronię się.

– To można wywnioskować na podstawie twojej ogólnej inteligencji.

Babcia sama powinna była być pisarką, tyle osób ją chwaliło za to jak pisze...

– Mi nie chodzi, żeby mnie chwalono – oświadczam – tylko o to, że pisanie to jest mój imperatyw. Jak oddychanie.

Babcia każe mi oddychać po kryjomu. Jeżeli coś napiszę, mam jej to najpierw dać do przeczytania, zanim komuś wyślę, żeby nie było obciążenia. Pytam Boga: co mam zrobić z tym swoim nieutulonym pragnieniem pisania, nikomu niepotrzebnym?

Skoro mowa o potrzebach: wiemy, że babcia ma ową niezaspokojoną potrzebę, żeby ktoś z nią zamieszkał. Z podłym mężem rozwiodła się, gdy córki były małe; siostra po wyjściu z zakonu mieszkała z babcią krótko, bo chciała studiować na drugim końcu Polski, byle jak najdalej od babci. Wychodzi na to, że większość swojego dorosłego życia mieszkała babcia sama. Do samotności jednak nigdy się nie przyzwyczała.

Inną potrzebą babci jest, żeby ktoś zajął się nią kompleksowo: zdiagnozował wszelkie jej dolegliwości, pochylił się nad każdym jej sukcesem życiowym, wreszcie zrozumiał, polubił i pokochał ją samą do szpiku kości. Niby naturalna potrzeba człowieka, wyrażona w kilku podpunktach, a jakże nierealizowalna. Bo czyż można zrozumieć, polubić i pokochać kogoś do czyjegós szpiku, nie wyrzekając się szpiku swojego? Jakże pełnoetatowe to zadanie. Ja na pełen etat wybrałam sobie ukochanie męża swego. I też nie jest łatwo, ale stokroć łatwiej niż ukochać babcię.

Tymczasem raczę babcię uwagą z doskoku, wybrakowaną, dziurawą jak ser szwajcarski, pomiędzy meandrami ukochania męża, siermięgą ukochania dzieci. Babcia ser szwajcarski odczuwa jako podłość i znieczulicę rodziny. Dla niej ser jest zawsze do połowy dziurawy, a właściwie składa się z samych dziur. Wytacza oręż, który ma nas wszystkich zmobilizować: co killkanaście dni przeżywa mini udary, o których czytała w gazecie.

Każę nam przyjeżdżać do siebie, nocować u siebie, wzywać pogotowie. Musi w końcu wziąć sprawy w swoje ręce, jak oświadcza w przeddzień jednego ze swoich mini udarów. Pogotowie nigdy nie stwierdza śladów mini udaru, za to lekarka na dyżurze mówi mi raz, że zmiany degeneracyjne w mózgu babci postępują i jej charakteropatia będzie się pogłębiać.

Charakteropatia. Od zawsze słyszałam od babci, że moja mama urodziła się charakteropatką, osobą aspołeczną, wyzbytą ludzkich uczuć.

Taką diagnozę postawiło ponoć trzech psychologów, kiedy mama miała 10 lat. Babcia nie ma tej diagnozy na piśmie i mama w nią nie wierzy. Też nie za bardzo wierzę babci, bo dzięki tej diagnozie może ona z czystym sumieniem mówić:

– Tak się starałam, tyle chodziłam z Agnieszką po psychologach, była taka trudna, tyle przez nią przecierpiałam! No, ale nic nie mogłam zrobić.

Teraz kiedy babcia leży w szpitalu, też nic nie może zrobić: diagnozują ją, czy miała ten mini udar czy nie, i stwierdzają, że jednak nie. Mogą ją wypisać. O drugiej w nocy dzwoni do mnie lekarka i mówi, że babcia chce wrócić do domu. Szpital co prawda może potrzymać babcię do rana, ale pacjentka co chwila wstaje z łóżka, wygraża rękoma i awanturuje się – jest jasne, że sama nie zmruży oka i nie da zmrużyć go innym dookoła. Czy jest ktoś z rodziny, kto będzie czekał na babcię w domu, jeśli sanitariusze ją odwieżą?

Mówię, że zadzwonię do cioci, babci córki, i zapytam. Sama nie mogę pojechać, bo mąż w delegacji, a dzieci śpią w drugim pokoju. Zresztą sama nie wiem, czy bym pojechała, gdybym mogła. W końcu sama babcia tego chciała i sobie samej zgotowała pogotowie. Za każdym razem, gdy wraca, jest niezadowolona z braku profesjonalizmu służby zdrowia, ale kolejnym razem liczy, że sanitariusze i lekarze odczują bezmiar jej dramatu: znieczulicę rodziny i jej cierpienie.

– Nawet Jezus miał lepiej na drodze krzyżowej – oświadcza mi raz babcia. – Z nim przynajmniej ktoś był.

– Kiedy, babciu, niby? – nie wytrzymuję. – Krzyż niósł sam. Dwóch apostołów było w tłumie i jego matka. Dopiero pod krzyżem mogli stanąć, gdy umierał.

A zatem dzwonię do cioci, po drugiej w nocy. Mówię, że lekarka powiedziała, że mogą potrzymać babcię do rana. Ciocia oznajmia jednak, że pojedzie. Chociaż wołałaby nie sama. Wiadomo, że do babci lepiej jechać z obstawą. Babcia robi często sceny przy obcych ludziach, opowiada o niewdzięczności rodziny, za zamkniętymi drzwiami też narzeka i próbuje ustawić wszystko po swojemu. Próbuję zatem dodzwonić się do mojej mamy zapytać, czy nie pojedzie razem z ciocią. Mama śpi i nie udaje mi się jej obudzić. I tak marne szanse, żeby pojechała – znam jej zdanie (skoro babcia sama tak chciała, to niech teraz ma).

Tymczasem ciocia staje się moją bohaterką – sama z własnej woli wrywa sobie z nocy trzy godziny na dojazd do babci, czekanie, aż przywiozą ją sanitariusze, kładzenie jej spać, powrót do domu. Trzy godziny nocnej zmiany, żeby pomóc swojej matce.

Matka jednak nie odczuwa wdzięczności, bo córka robi wszystko nie tak, a przede wszystkim przyjechała za późno i nie była z nią wcześniej na oddziale.

Podczas kolejnej wizyty uświadamiam babcię, że obie z ciocią na oddziale byłyśmy. Rozmawiałyśmy z lekarką. Lekarka odesłała nas do domu i zobowiązała się, że do nas zadzwoni. Żadnej z nas nie było spieszo do trwania na posterunku przy babci, bo przerabiałymy to już tyle razy... Babcia niby z nami rozmawia, a przy okazji pierze na forum wszystkie brudy rodzinne, wylewa wszystkie swoje żale, tak żeby była jasna wszem i wobec czarna niewdzięczność rodziny. Mówi niby do nas, a jakoby do całej sali za nami. Ostatnio zostawiamy ją więc samą, by nie zakłócać jej kontaktu ze szpitalnym audytorium.

– Jak? Ja? Kiedy ja niby prałam brudy na forum? – oburza się babcia.

– Za każdym razem – odpowiadam. – I opowiadasz często nieprawdę. Na przykład, że rodzina przyjeżdża do ciebie raz na trzy miesiące, podczas gdy zawsze ktoś jest kilka razy w tygodniu.

– I co? I to jest powód, że zostawiacie chorą, starą kobietę samą na oddziale?

– Po co ci był ten oddział, babciu? To ty zdecydowałaś, że masz ten mini udar...

– Ja nie zdecydowałam! O tym się nie decyduje! – wybucha babcia.

– Nie martw się, nie powiedziałyśmy tego lekarce. Tyle mogłyśmy dla ciebie zrobić.

Babcia nie odpowiada. W końcu dzieli się ze mną gorzkimi owocami swojego życia:

– Nic nie osiągnęłam w życiu. W tej mojej samotności pozostaję sama ze swoimi myślami. Dopadają mnie wspomnienia. I one nie są miłe.

Ja osobiście jestem uodporniona na złe myśli na temat swojego życia. Czytam mistyków katolickich, uczę się, że lepiej podnieść włos z ziemi z pomocą Boga niż zbudować katedrę bez Jego udziału. A zatem podnoszę włos i wiem, że więcej nie mogę. Ale babcia uważa, że ona mogła w życiu osiągnąć więcej niż ja. Mi jest łatwiej podnosić włos. Oddaję swój los w Boże ręce. On wie, co mi potrzebne. Czy sukces, czy porażka.

Zachodzę w trzecią ciążę. Jestem zaskoczona. Wola Boża. Chciałam być twórcza, stwarzać rzeczy, fikcyjne światy równoległe. A tu mimochodem stworzyłam realistyczne życie fizjologiczne. No cóż: wszystko, co

najlepsze, dostałam od Boga. Jezu, ufam Tobie. Dwoje moich dzieci cie-
szy się z rodzeństwa. Mąż też – mógłby mieć nawet i czworo potomków.

– Babciu, jestem w ciąży – oznajmiam w końcu i jej.

– O! A cieszysz się? Cieszy się?

– Tak.

– To dobrze. Kto jak nie wy nadaje się na rodziców? Poza tym ja ni-
gdy nie wierzyłam, że ty będziesz pracować.

A zatem: babcia nigdy we mnie nie wierzyła. Ale to nie jest brak wia-
ry czymkolwiek podparty, to jest brak wiary fundamentalny, o funda-
mentach jak beton, fundamentach wylanych dogłębnie, wylanych bardzo
dawno temu, prawdopodobnie nawet zanim się narodziłam.

Dociekam przyczyn:

– Babciu, przecież wiesz, że nie starałam się o pracę. Przecież wiesz, że
piszę bajki dla dzieci i wysyłam na konkursy. Przecież wiesz.

Babcia prycha.

– Tak się dziwisz, babciu, tak się dziwisz, czemu takie matki jak moja
zyskują wdzięczność, a takie jak ty – nie. Dla mnie to jest jasne: moja
mama we mnie wierzy, a ty – nie. Dlatego dobrze, że jesteś moją babcia,
a nie moją mamą, bo między nami tkwi wiara mojej matki we mnie,
która jest nie do ruszenia i której nie zachwiejesz.

– Twoja matka wierzy w ciebie? – dziwi się babcia.

– Wierzy we wszystkie historie, które jej opowiadam: kto mnie za co pochwalił i za co docenił.

– A, to wierzy tobie, a nie wierzy w ciebie. To różnica – uświadamia mnie babcia.

– Różnica między tobą a mną jest taka, że ja – kiedy mi opowiadasz, kto cię kiedyś za co chwalił – wierzę ci. W dobrej wierze, wierzę ci. Kiedy natomiast ja opowiadam tobie, że ktoś mnie kiedyś za co chwalił, ty – nie wierzysz mi nigdy.

– Ale mnie nie chwalił ktoś, tylko profesorowie, najtęższe głowy...

Babci profesor jest zawsze fajniejszy niż mój. Mówimy sobie każda to samo: każda o swoim potencjale.

– Już ci nie wierzę – mówię. – Pokaż dowody, babciu.

Babcia wykrzykuje, że dobrze, skoro tak sobie chcę: jest skończonym beztalenciem. Trzaska słuchawką.

W ciąży towarzyszą mi mdłości. Nachodzą mnie od rana do wieczora, chwytają za gardło. Podszewka żołądka jest wywrócona. Jedzenie mi wygraża: zjesz mnie, to popamiętasz mnie. Na długo. Kiedy nie jem, podszewka żołądka wywraca się na wszystkie strony, uwiera od góry i od dołu. Jest pognieciona jak krepą. Pluję krepą. Muszę zatem wygładzić podszewkę. Nie mam wyjścia, ryzykuję: trzęsącymi rękoma biorę po kolei jabłko, marchewkę, kawałek chleba, jajko na pół twardo. Jabłko i marchewka ani nie miękną, ani nie rozpuszczają się; obojętnie ile bym żuła, pozostają twarde i obce jak drobne odłamki pocisków. Chleb rozsypuje się w ustach jak stary, pożółkły papier i tak samo smakuje. Jajko się cofa, zanim na dobre osiadło. Gdyby

choć smakowała mi woda, ale nie: woda, którą piję, tnie gardło jak stal.

Mdłości nasilają się także, kiedy głośno mówię albo – w ogóle – mówię za dużo. Zanurzam się w ciszy. Kiedy dzieci są w przedszkolu, siadam na kanapie i nie mówię nic. Każde poruszenie ciała wzmaga wymioty. Udaję, że się nie ruszam; udaję, że mnie nie ma.

Nie odwiedzam już babci, rzadziej dzwonię: mówić do niej trzeba głośno, bo niedosłyszysz. Po każdej rozmowie idę do łazienki zwymiotować nadmiar słów do sedesu.

Deleguję zadania dotyczące babci – odtąd wykonują je inni. Moja mama jeździ do lekarki babci po recepty na babcine leki i pieluchy.

Tymczasem dzwoni do mnie babcia:

– Gosiu, nie mam już leku x.

– Babciu, mama ma recepty, dzisiaj ci je kupi, ale nie wiem, kiedy ci je przywiezie. Dlaczego nie dzwoniłaś wcześniej, że ci się kończy?

– Mama mówiła, że przyjedzie do mnie na początku grudnia, więc czekam. Jest już połowa miesiąca. Nigdy do mnie nie dzwoni...

Dzwonię do mamy, która nigdy nie dzwoni do swojej mamy. Albo co najwyżej dzwoni bardzo rzadko.

– Mamo, babci skończył się lek x. Miałaś zamiar dziś jechać do babci?

Mamę trafia szlag, że babcia dzwoni w dzień, kiedy kończą jej się leki. Krzyczy, że babcia nigdy nie pomyśli z wyprzedzeniem, całe życie wszyscy

mieli skakać wokół niej, i że babcia jest skończoną manipulantką. Potem reasumuje:

– Nigdzie nie jadę. Ja te leki dziś kupię i zamówię pieluchy. Wszystko razem zawiezie tata, kiedy wróci z delegacji. Czyli za kilka dni.

– Babcia mówiła, że miałaś przyjechać do niej na początku grudnia.

– Na początku grudnia miałam jechać do lekarki.

– Czemu nie zadzwonisz i nie zapytasz, ile jej zostało?

– Sama powinna o tym pomyśleć.

– To jest w twoim interesie, żebyś ty pomyślała, żeby nie było takich sytuacji.

– Nie! Jak jej zabraknie, to się nauczy, że trzeba samemu pomyśleć.

– Nic się nie nauczy, bo zadzwoni do cioci Marysi i każe jej przywieźć taksówką swoje leki x.

– To źle! Ciocia nie powinna się na to zgadzać. Potem nie wiemy, ile tak naprawdę leków bierze babcia.

– Na pewno nie pojedziesz?

– Nie. Mogę jej załatwić wszystko dookoła, ale do niej nie pojadę. Mówię ci, Gosiu, jak mam do niej jechać, to mnie ogarnia takie przygnębienie, nie mogę spać w nocy, a kiedy od niej wychodzę, to jestem wypruta z wszystkich sił, chce mi się wymiotować.

Oddzwaniam do babci:

– Babciu, mama do ciebie dziś nie przyjedzie.

– Dlaczego?

Milczę.

– Nie chce przyjechać, czy tak?

– Co ci mam powiedzieć, babciu – odpowiadam prosto z mostu.

– Ale to jest przykre... Nie powinnaś mi tego mówić, Gosiu.

– Mama nie chce ci zrobić na złość. Po prostu te wizyty za dużo ją kosztują.

– Mama jest chora. Powinna się leczyć. Jest charakteropatką.

W tle słyszę głos pani Gabrysi, która gotuje babci obiady. Mówi, że znalazła w szafie nieotwarte opakowanie leku x. Czyli: fałszywy alarm. Z zapasem leków można przyjechać za kilka dni. Po rozmowie z babcią idę coś zjeść. Nic mi nie smakuje. Gdybyż chociaż smakowała mi woda! Ogarnia mnie senność. Jest taka obezwładniająca, nieprzejednana, nie przyjmuje odmowy. Czasem zasypiam na siedząco na popołudniowych treningach tenisa dzieci. Teraz dzieci są w przedszkolu, więc ulegam senności bez mrugnienia okiem.

Śnią mi się babcia i ciocia Marysia, wpuszczam je obie do babci-nego domu. Wchodzą do przedpokoju rozchichotane, w dobrym humorze. Wróciły z teatru. Nie kłócą się w ogóle. Na jawie nigdy nie

chodziły razem do teatru, rzadko co robiły razem dla przyjemności – kiedyś może grały w szachy, ale te czasy się skończyły, zanim na dobre się zaczęły.

Budzę się. Babcia często mówi, że chce umrzeć, ale nikt jej nie wierzy. Nie raz zastanawiała się na głos, po co Pan Bóg ją jeszcze tu na tym ziemskim padole trzyma.

– Żebyś się pojednała z tymi, z którymi trzeba? – poddaję pod rozwagę.

– Ja wszystko wszystkim wybaczyłam. Nawet mojemu podłemu mężowi, który umarł trzydzieści pięć lat temu. Popatrz, Gosiu, był taki podły, taki głupi, że nawet teraz jak o nim myślę, to mi się wszystko w środku przewraca. Od razu wiedziałam, że nie był zbyt mądry, górowałam nad nim intelektualnie, ale wydawał mi się dobrym człowiekiem, który doceni to, że go wybrałam. A on nie dość, że nie był mi podporą, to jeszcze całe życie złośliwie mi kłody pod nogi rzucał. Nie przechodzi mi przez gardło jego imię.

– A co z moją mamą?

– Też jej wszystko wybaczyłam. Dwa lata przez nią nie spałam, jak była mała. Taka była: od urodzenia były z nią problemy – w dzień spała, w nocy płakała. A potem – w okresie dorastania – zrobiła z mojego życia piekło.

– To może, zanim umrzesz, wysłuchasz mojej mamy, jak ona to widziała?

– Jak niby ona to widziała?

– Że jej nie akceptowałam.

– Mama bzdury wygaduje, nie wierz jej. Kochałam ją.

Moja babcia wszystkim wybaczyła i wszystkich kocha, spakowana na tamten świat, a Bóg wciąż się o nią nie upomina. Dookoła po kolei różne babcie – jedna po drugiej – odchodzą: siedemdziesięcioletnia sąsiadka z drugiego piętra, osiemdziesięcioletnia babcia kuzynek, osiemdziesięciosiedmioletnia babcia szwagra... Żadna z nich nie upominała się o śmierć, a ta przyszła do nich niespodziewanie i wzięła je z zaskoczenia. Tymczasem babcia wytrwale, cierpliwie wygląda jej przez okno, a ona nie nadchodzi. Ma już osiemdziesiąt siedem lat; ma podłą, niewdzięczną rodzinę, której wybaczyła – także córce, która wymiotuje, kiedy od niej wychodzi. I ja kontynuuję tę tradycję – przekazywaną z matki na córkę w rodzinie, w której relacja między rodzicem a dzieckiem jest okupiona silnymi mdłościami – i wymiotuję solennie.

Potem idę do kuchni. Chwytam szklankę wody. Nie wierzę: jak ona cudnie smakuje! Uwielbiam Cię, Panie Boże, i dziękuję za smak tej wody. Dziękuję za istnienie mojej matki i mojej babci. Dziękuję Ci za każde dziecko, które się z nas zrodziło i zrodzi się jeszcze.



XXVI Konkurs Literacki
Krajobrazy Słowa

Krzysztof Golczak

Godło „UltraRunner”

Wyróżnienie w dziedzinie prozy

Krzysztof Golczak

Jest biegaczem, maratończykiem, ultramaratończykiem oraz trenerem biegania. Przed laty napisał kryminał „Szczęściarz”, który wygrał konkurs organizowany przez Oficynę Wydawniczą RW2010.

1.

Skok z okna. To wydawało mi się rozwiązaniem jednocześnie skutecznym i higienicznym, po upadku z piątego piętra nie rozpadnę się przecież jak dojrzały arbuz, nie stanę się nagle lepką masą rozbryzganą na asfalcie, a moje narządy wewnętrzne nie wylądują na Hetmańskiej, nie spłyną do Warty, a głowa nie potoczy się pod tramwaj linii numer 1. Stanę się martwą kupą mięsa, wątroba znajdzie się gdzieś w okolicach gardła, a tchawica zmieni miejsce z jelitami. Zapakują mnie do czarnego worka, odwieżą do Zakładu Medycyny Sądowej, studenci pod czujnym okiem profesora albo odwrotnie, przeprowadzą sekcję zwłok, żeby „wykluczyć w zdarzeniu udział osób trzecich”. Tak to sobie wyobrażałem. Mógłbym policzyć, wykorzystując wiedzę zdobytą w szkole, jak długo będę spadał i w ten sposób oszacować prawdopodobieństwo, czy w czasie tego bezwładnego i ostatecznego lotu zacznę żałować powziętej decyzji.

Zacznę? Na pewno. Może trzeba się wcześniej znieczulić, cztery mocne piwa powinny załatwić sprawę, choć dla pewności lepiej doprawić je odrobiną whisky, myślę, i płynnie przeskakuję do kolejnej metody: rzucić się pod pociąg, pod jego koła, będąc precyzyjnym, pod ekspres najlepiej, relacji Poznań–Warszawa albo odwrotnie. Metoda może nie tak higieniczna, ale z pewnością o równie wysokiej skuteczności.

A może łyknąć te resztki środków nasennych, zapisanych przez jednego z licznych napotkanych przeze mnie w życiu psychiatrów? Higienicznie, wręcz sterylnie, ale skuteczność pod dużym znakiem zapytania. Pamiętam go dobrze, siedzącego za dużym biurkiem, w typie gdańskim, ale tego nigdy nie byłem w stanie prawidłowo rozpoznać. Nasze spotkania

trwały zazwyczaj kilka minut, może poza pierwszym, kiedy to opowiedziałem mu wszystko, ale nawet wówczas z jego ust nie padło żadne słowo wsparcia, a w spojrzeniu nie zobaczyłem choćby odrobiny empatii. Recepta, dodatkowa kartka z dawkowaniem i proszę umówić się na wizytę w recepcji, tak za miesiąc, chyba żeby coś się działo. A co się mogło dziać, chciałem spytać, ale wiedziałem, co ma na myśli. Wykupywałem lekarstwa, łykałem tabletki, czekałem na cokolwiek i mijał miesiąc. Lepiej, pytał, nie, rzucałem, musimy zwiększyć dawkę, twierdził, ja nic po tych lekach nie czuję, tłumaczyłem, nie ma żadnego skoku nastroju, nie czuję się, jakbym wypił zbyt dużo napojów z kofeiną. To zmienimy leki, wyjaśnił, nowa recepta, nowe dawkowanie, próbuję zapamiętać, czy rano, czy wieczorem, pół tabletki, czy może cała, bo jego hieroglifów za nic w świecie nie mogłem odczytać. Proszę umówić się w recepcji na następną wizytę...

Mam jeszcze jakieś możliwości, opcje, będzie nowocześniejsze, choć może niezbyt ładnie i prawidłowo. Sznur. „Ostał ci jeno sznur”, nawet zaśmiałem się pod nosem, bo tylko tyle pamiętam ze słynnego dramatu, a jego samego nigdy nie przeczytałem. Funkcjonuje ten cytat w języku, wszyscy go powtarzają, niewielu go rozumie, bo albo nie czytali, albo już zdążyli jego sens zapomnieć. Sznur. Skuteczność? Ekstremalnie wysoka, tak mi się wydaje, skoro to najpowszechniejsza metoda, ale nie wiem, czy egalitarna, czy jest ona tylko domeną chłopów z zapadłych wsi na Podkarpaciu, którzy pewnego dnia stwierdzają, że chuj, ile bym nie wypił, i tak mi się nie poprawi. Rozumiem ich, choć ten sznur trochę wydaje mi się poniżej mojego poziomu, choć szura on po dnie życia. Mojego życia. I jak to jest z tymi zwieraczami? Puszczają przy okazji przerwania rdzenia kręgowego czy nie? Jeśli tak, to kończysz swoje zasrane życie dość dosłownie. W ostateczności, do rozważenia, napisałbym, gdybym tworzył jakąś listę i wypisywał na niej wszystkie możliwości, w jaki sposób można popełnić samobójstwo.

Bo mimo wszystko jej nie robię. Kurewsko chcę żyć. Zaśmiewam się po raz drugi. Za dużo tego śmiechu. Może czas spoważnieć, wybrać metodę, to podobno połowa sukcesu, obrać cel i się go trzymać z żelazną konsekwencją. A tej najwyraźniej mi brakuje, bo o samobójstwie myślę od ćwierć wieku, po kilka godzin dziennie, we wtorek i w niedzielę, w pracy, której de facto nie mam, bo mnie nie interesuje, i gdybym sam siebie nie zatrudniał, to z pewnością nie zostałbym pracownikiem miesiąca, i na wakacjach, na które nie jeżdżę. W samochodzie, w sklepie, w biegu i na kiblu. Nie robię planów na przyszłość, bo jest nią samobój, gdzieś, zawsze czyha na horyzoncie, nie zachodzi nigdy, wstał przed laty i trwa, tak jak ja. Mój brat śmierć.

Czyli skok z okna? Pytam się po raz kolejny, myśląc jednocześnie, jakie to łatwe. Dwa kroki, nawet nie, półtora, albo jeden kangurzy i już trzymam w dłoni chłodną klamkę. Wystarczy otworzyć i skoczyć, zostawiając sąsiadów ze spekulacjami, czy trzeźwy, czy wypadek, czy chciał skoczyć? Nie, to niemożliwe, taki miły, uprzejmy, dzień dobry, drzwi przytrzyma, poczeka w windzie, puści przodem, może nawet się odezwie, czymś niezobowiązującym, jakąś bzdurą. No może trochę smutny, wtedy zazwyczaj milczał, ale przecież dzień dobry, do widzenia? Niemożliwe. Wypadek, pewnie montował żaluzję albo coś, roletę jakąś. Wypadek, myślę, wchodząc na parapet.

Ubierać się jakoś specjalnie, czy tak po domowemu, w dresie, w starej koszulce pamiętającej czasy studenckie? Czy garnitur jak do trumny albo chociaż marynarka, i w kieszeń list pożegnalny? Albo intymny przedmiot, żeby mi towarzyszył w ostatniej drodze. Zdjęcie A., którego nie mam? Bo wszystkie w postaci cyfrowej, w komputerze, upchnięte w folderze, do którego nie zaglądałem od dwudziestu miesięcy, wszystkie to zera i jedynki, nic osobistego. Jasne!

Może ten pociąg jednak lepszy? Czytałem kiedyś, w *Newsweeku* albo w *Polityce*, że niektórzy takie spotkanie z tonami żelastwa na torach jednak przeżywają. Leżą potem wciśnięci między koła a drewniane bądź betonowe podkłady, i umierają w męczarniach. Jakie życie, taka śmierć, może samobójcy do końca nie mają łatwo? Jakby sama decyzja nie przysparzała im trudności i miliona wątpliwości. A może dziennikarz napisał to tylko po to, by zrazić ewentualnych naśladowców?

Sznur? Gdzie? W domu? Nie mam belek stropowych, nie mam stoły z poddaszem, gdzie łatwiej, praktyczniej. Nie mam nawet piwnicy, w której mógłbym sobie dyndać tydzień, nim komuś zacząłby przeszkadzać wydobywający się zza drzwi smród. Może w tej wózkarni, do której raz przypadkiem zajrzałem albo ktoś mnie do niej zabrał, a stojące w niej wózki przypominały wyglądem bolidy formuły 1. Drzewo w lesie? Musiałbym na nie wejść, a po czterech piwach i setce wódki mogłoby być to trudne. A może wejść, usiąść na gałęzi, wypić, w odpowiednim momencie pętla na szyję i po robocie?

To może tabsy, ten sam zestaw, tym razem do popicia, a jak zacznę żałować nim usnę, i będę leciał do kibla, żeby je wyrzygać, wkładając sobie palce w usta, czego nie lubiłem robić, bo prawie nigdy nie chce mi się rzygać. Nie rzygałem od lat, przynajmniej od czasu, kiedy mój młody organizm nie był dostatecznie oswojony z alkoholową trucizną. Dawno to było. Ostatnio dopadały mnie jedynie nieliczne zatrucia, jeszcze rzadsze jelitówki, ale wtedy wszystko co zbędne ulatywało dołem. Zastrane życie.

Z tym pociągiem też słabo. Linia Poznań–Warszawa daleko. Za dużo czasu na rozważania, na wycofanie się, niepodjęcie próby. I jak to w praktyce? Rzucić się tak dosłownie? Czekać przy torach i kiedy będę czuł już pęd pociągu, tak po prostu pod niego wejść? Leżeć wcześniej i czekać? Ale w takim przypadku maszynista może zdążyć wyhamować i co wtedy?

Szpital czy może konieczność zmierzenia się z konsekwencjami wstrzymania ruchu pociągów na międzynarodowej magistrali? Położyć się albo usiąść za zakrętem, tak czytałem, żeby nie dać maszyniście żadnych szans powstrzymania tej kupy żelastwa. Skuteczność podobno wysoka, ale przy moim szczęściu to pewnie tylko kończyny dolne stracę i jeszcze gorzej będzie. Pozbawię się wielu możliwości, będę musiał żyć, nawet na parapet wejść ciężko, bo jakże tak bez nóg?

Most najbliższy, ale nie wiem nic o skuteczności takiego skoku. Czy tafla wody w czasie uderzenia przypomina beton? Czy sam upadek człowieka przeżywa i po prostu topi się? Podobno większość samobójców skacze z nurtem, ale dlaczego?

Rzecz wymaga o wiele większych przygotowań niż się wydaje. A może tak spontanicznie, jeśli następny kryzys nadejdzie w mieszkaniu, to skok z okna, jak gdzieś na zewnątrz, to szukanie najbliższych torów, tira jadącego z naprzeciwka, jak po alkoholu, to łatwiej, wtedy obojętnie gdzie, byle skutecznie i szybko, bez zbędnych wątpliwości i cierpienia.

2.

Kiedyś wszystko było inaczej. Kiedyś wszystko będzie inaczej. Powtarzam te zdania co rano, jak mantrę, po latach nie znaczą już dla mnie nic. Pierwsze nie wyraża nostalgii, w drugim nie ma nadziei.

Jak to było? Wyregulowanie chemii mózgu? Psychiatra za ciężkim biurkiem, z lekką nadwagą, ale za to ze śródziemnomorską urodą i zegarkiem, na który teraz było mnie stać, ale taki zakup uznawałem za zbyt cenny wydatek. Wali mnie tarczą po oczach, wydaje się, że to ona reguluje

każdy jego ruch, każdą notatkę, którą sporządza na komputerze, dokumentując to, co mówię. Jest to wkurwiające. Ja mówię, on stuka w klawisze. Nie słucha mnie, takie mam wrażenie od pierwszej wizyty. Spogląda na mnie, kiedy kończy zdanie, wciskając enter na klawiaturze. Milczę. Wiem, że to nie ma sensu, on wygląda, jakby uważał tak samo. Zero zrozumienia. Widzę to w jego oczach koloru ciemnego piwa. Na półce kilka książek, ich tytuły brzmią dla mnie obco, ale uciekam w ich grzbiety przed jego przesywającym wzrokiem. Dodaję jeszcze kilka zdań, że nie pamiętam momentu, kiedy to się stało, a teraz jestem w sytuacji, w której nie wiem, co zrobić. Staram się mówić konkretnie, porzucam ogólniki, przekraczam barierę, za którą mieszka szczerłość, a raczej jej namiastka. Że popełniłem za dużo błędów, nie wiem, jak je naprawić, a nawet, że nie widzę możliwości, jak to zrobić. Stuka w klawisze, mam ochotę wstać, stanąć za jego plecami i spojrzeć w monitor. Nie robię tego. Czy przyłapałbym go na przeglądaniu internetu, może stron porno, a może naprawdę wpisuje swoje uwagi do formularza programu e-świr, wersja 2.12? Kończę, a tak naprawdę to nawet nie zacząłem, gdybym powiedział mu wszystko, to jego laptop eksplodowałby. Nie potrafię jednak. Przytłacza mnie ten gabinet, ogromne biurko jest jak barykada, oddziela nas, tworzy dystans. Czuję się jak na dywaniku u szefa, kiedy tłumaczę się z czegoś, co powinienem zrobić, a czego nie zrobiłem, z lenistwa bądź przez zaniedbanie. Recepta, dawkowanie, następna wizyta.

W drzwiach mijam kolejnego pacjenta, wygląda na strapionego, chcę go ostrzec, że tutaj nie znajdzie pomocy, ale może to tylko ja jestem jakiś skrzywiony i odporny na ratunek.

Wychodzę na ulicę. Jest wczesna jesień, świeci słońce, kasztany na chodnikach i na ulicach. Z tych drugich, rozjechanych przez samochody, wyszły białe wnętrzości, a ja natychmiast myślę o torach, ekspresie i przypomina mi się zaszyszana przed laty historia o maszyniście, który ma

na koncie dwudziestu jeden samobójców i na którego w związku z tym wołają „Oczko”. Śmiałem się z tego wtedy. Ha, ha, ha, rechotaliśmy, pijąc piwo i grając w karty. Czułem dziwne ukłucie, odrobinę współczucia dla ofiar, a może zazdrość dla ich heroicznej, choć egoistycznej postawy, dla ich odwagi, na którą chyba nigdy się nie zdobędę.

Wystawiam twarz do słońca, czuję w kieszeni następną receptę i wyrwaną z notesu kartkę z dawkowaniem. Notes jest oczywiście reklamówką koncernu farmaceutycznego, któremu podobno nie zależy, żeby ktokolwiek wyzdrowiał. Chory pacjent to najlepszy klient. Zdrowy jest lepszy od martwego, bo zawsze może jeszcze zachorować, a martwymi nikt się nie przejmuje, oni są zerami w rubryce sprzedaży, zadrą w bilansie.

Moja wina. Idąc, układam monolog, który powinienem wyrzucić z siebie w gabinecie, ale to ciężkie biurko zważyło mi się na klatkę piersiową, zdusiło zdolność mówienia, pozbawiło tchu. Sto dwadzieścia złotych to będzie, mówi recepcjonistka o nijakiej twarzy, włosach o trudnym do określenia kolorze i głosie przypominającym odgłos biegania po ściernisku. To jedyne sensowne słowa, jakie usłyszałem w poradni zdrowia psychicznego. A może to był gabinet o łacińskiej nazwie? Podaję jej odliczone pieniądze, umówić następną wizytę, pyta, tak, za pięć tygodni, odpowiadam. Następna kartka z nazwą własną, a na niej data i godzina. I przez sekundę obiecuję sobie, że wówczas powiem wszystko, że zaplanuję, a potem wyrzucę z siebie wszystko, i w ten sposób oderwę go od tego pieprzonego laptopa. Będzie musiał mnie słuchać, współczuć i dopiero wtedy poradzi mi coś więcej niż wyregulowanie chemii mózgu, bo to nie o nią chodzi, tylko o moje pierdolone życie. Mam ochotę walnąć pięścią w kontuar, wyrwać jej te bezbarwne włosy, pobić, skopać, roztrzaskać monitor, rzucić krzesłem, na którym siedziałem, czekając na zaproszenie do gabinetu lekarskiego. Ale nie robię nic. Oszukuję się, że tak musi być, oszukuję się, że wierzę lekarzowi, że wreszcie znajdzie lek, który na mnie zadziała, a jego dawkowanie mnie uszczęśliwi,

wyprostuje, przywróci społeczeństwu, do którego tak naprawdę nie chciałem należeć, nie czułem z nim żadnych więzi, co wydawało mi się bardzo nowoczesne, mimo że było początkiem moich kłopotów. Kłopotów, których nie umiałem nazwać, poza tym, że było mi kurewsko źle i jedynym rozwiązaniem, jakie majaczyło na horyzoncie, było samobójstwo.

Następny kasztan z wnętrzościami na wierzchu. „Oczko”, ha, ha. Jestem pewien, że nikt już o nim nie wspomina, nawet ten, kto tę historię puścił w obieg. Tylko ja pamiętam, trochę mu nawet współczuję, pewnie po każdym tego rodzaju incydencie przeżywał traumę, z pewnością dostawał kilka dni wolnego, może opiekę psychologa. A może wypijał tego wieczoru pół litra, zapominał o wszystkim, a po kilku dniach siadał za stery lokomotywy 201E i nie myśląc, nie przejmując się, gnał pospieszonym z Olsztyna do Krakowa albo odwrotnie. Przyjmując ewentualnego samobójcę na torach za ryzyko zawodowe albo zło konieczne.

Mija mnie człowiek na starym rowerze szosowym, najnowszym krzyku mody, z obfitą brodą i w trampkach na nogach, choć szybkim spojrzeniem oceniam, że jest starszy ode mnie. I myślę sobie, że ponad dekadę temu przed skokiem z okna uratował mnie Lance Armstrong. Pieprzony oszust, kiedy jeszcze zasługiwał na szacunek całego świata, był chodzącą legendą, ikoną walki z rakiem i sportowcem wszech czasów. Atletą doskonałym. Nie skoczyłem, bo bardzo chciałem wiedzieć, czy pobije rekord i po raz szósty z rzędu wygra Tour de France. Powiedziałem o tym pani psycholog, wtedy umiałem jeszcze zdobyć się na odrobinę szczerości. Być może sprawiało to otoczenie. Nie było ciężkiego biurka, a mojego monologu nie zakłócało stukanie klawiszy. Siedzieliśmy obok siebie, oddzieleni malutkim, okrągłym stolikiem, którego całą powierzchnię zajmowało pudełko chusteczek higienicznych; nieodłączny element wszystkich gabinetów. Ale nim zdołałem wydusić z siebie kilka sensowych zdań, pani psycholog o dwojgu nazwiskach ukradkiem spoglądała na wiszący na ścianie

zegar i dawała mi tym samym znak, że nasze spotkanie dobiega końca. Następne czterdzieści pięć minut znajdzie dla mnie za dwa miesiące, bo to publiczna służba zdrowia, przychodnia w starym budynku, pamiętająca późnego Gomułkę albo wczesnego Gierka. Wychodzę z niego podniesiony na duchu, z receptą, z dawkowaniem na kartce bez logo koncernu i bogactwy o sto dwadzieścia złotych, a właściwie nie biedniejszy.

A teraz, pyta inny psycholog, w innej przychodni, pięć lat później. Nie rozumiem, dopytuję, bo naprawdę nie rozumiem, odpływam gdzieś, w tym gabinecie, choć nazwanie tak tego pomieszczenia jest niewątpliwą nobilitacją, nie ma zegara na ścianie, stolika między nami, chusteczek na nim, nie ma w nim nic. Co teraz powstrzymuje cię, robi pauzę, być może rozważa, jakiego określenia użyć: czy powiedzieć „samobójstwo”, które jest ostre jak brzytwa, czy może zmienić je na nieco bezkształtne „odebrać sobie życie”. Zastanawiam się ponad minutę. Patrzy na mnie cierpliwie. Że mnie nie będzie, odpowiadam, kiedy czuję, że za chwilę poda mi rękę albo rzuci koło ratunkowe w postaci pytania, które w jej ocenie ma mi pomóc, a ja wiem, że pograży mnie jeszcze bardziej. Bardzo dobrze, odpowiada, a ja znowu nie rozumiem. Nie słucham jej krótkiego wykładu, zadaje mi kilka pytań, zamiast odpowiedzi wzruszam tylko ramionami, albo odpowiadam, że wiem.

Wychodzę z budynku wciśniętego w osiedle z wielkiej płyty. Jest szaro, choć to wiosna, ale tego roku jakby wszystko zapomniało, że pora budzić się do życia. Że mnie nie będzie, mówię bezgłośnie, bawię się tymi słowami, oglądam je ze wszystkich stron, ale nadal ich nie rozumiem. Nie umiem nawet wytłumaczyć, dlaczego tak powiedziałem.

Idąc między brudnoszarymi blokami planuję wszystko, żeby naprawdę mnie nie było, kiedy mnie nie będzie. Kiedy wybiorę metodę, bo pytania, jakie mnie dręczą, to raczej „kiedy i jak?” niż „czy?”.

3.

Mógłbym jeszcze uciec, przynajmniej teoretycznie. Przecież ludzie tak robią, choćby po wielkiej wojnie, przenoszą się z terenów zniszczonych na takie, gdzie pozostały choćby strzępy życia. Oszukuję się, wiem. Kiedy zniszczą ci dom, kiedy twoje życie jest zagrożone, dopada cię zwierzęcy strach, włącza się instynkt przeżycia. Zrobisz wtedy wszystko, żeby ochronić siebie i swoich najbliższych. A ja nie chcę żyć, dlatego ucieczkę rozważam tylko teoretycznie. Rozumiem tych z Aleppo, uciekają z miejsca, gdzie nie mają nic, do miejsca, którego nie znają, nie wiedzą, czy jest ono sto czy tysiąc kilometrów od ich dotychczasowych domostw, i w którym nikt na nich nie czeka ani nic. Zacząć wszystko od nowa. To udaje się tylko w filmach i na wykładach motywacyjnych, gdzie wszystko zależy od ciebie, nic cię nie ogranicza, a jeśli już, to są to tylko twoje marzenia. Bądź sobą, radzą mówcy motywacyjni i coachowie. Jak mam, kurwa, być sobą, skoro siebie nie lubię?

Mógłbym uciec, myślę sobie, to miałoby szanse powodzenia. Sprzedać mieszkanie, choć nie jest to w moim przypadku konieczność, na koncie bankowym zgromadziłem tyle, że mógłbym przez kilka lat nie pracować. Mieszkałbym na Islandii albo odległym rejonie Norwegii, może w Szwecji, gdzieś pod kołem podbiegunowym i wegetował, bo inaczej tego nazwać by nie było można. Tylko czy w innym miejscu byłoby inaczej? Mają tam lepszych specjalistów, czy może moje objawy nagle ustąpiłyby lub chociaż uległy złagodzeniu? Potem znalazłbym jakąś prostą pracę, byłbym stróżem nocnym, bo nadal słabo znałbym język, do ich nauki nigdy nie miałem ani serca, ani talentu. Ostatecznie mógłby spełnić swoje dziecięce marzenie, w którym chciałem być śmieciarzem, jest

to jednocześnie moje pierwsze wspomnienie z dzieciństwa. Dzień, kiedy pod blok przyjeżdżała śmieciarka, był dla mnie najważniejszy z całego tygodnia. Samochód zatrzymywał się przed wejściem na klatkę schodową, z pomieszczenia przy wejściu śmieciarze wyciągali kontenery na kółkach, podjeżdżali nimi pod tył samochodu, montowali na szynę, automat podnosił kubel, przechylając go jednocześnie i wszystkie odpadki lądowały w samochodzie. Wydawało mi się to najlepszą pracą na świecie, choć śmieci wynosić do zsypu nie lubiłem, negocjowałem z ojcem, że jeszcze trochę, za godzinę, ale w końcu brałem pomarańczowe wiadro wyścielone gazetą, schodziłem na półpiętro, otwierałem wąż, przesypywałem śmieci z wiadra do szuflady i szybkim ruchem spuszczałem ją w dół. Nasłuchując, jak część z nich obija się o ściany szybu, a po kilku sekundach wszystkie lądują na parterze, w kuble. Oczywiście widzę teraz siebie spadającego z piątego piętra i czuję się jak te odpadki. Kilka miesięcy później porzuciłem swoje marzenie o karierze śmieciarza. I bardzo chciałem zostać maszynistą... Wygląda na to, że Bóg to jednak wielki ironista jest.

Zadzierzgnięcie, przypominam sobie. Mówi to psychiatra, kobieta o nalanej twarzy i ciemnych, rudych włosach. Spogląda na mnie zza okularów, które wyglądają na męski model. Nie lubię jej od momentu, kiedy przekroczyłem próg gabinetu. Tak, zdecydowanie jest to gabinet, choć przypomina on gabinet pediatry, jakie odwiedzałem w zeszłym stuleciu. Siedziała za małym biurkiem, karty pacjentów po lewej stronie, notes na środku, po prawej trudna do opisania pustka. Gdybym wiedział, jak to zrobić, to wczoraj powiesiłbym się na kłamce, tłumaczę, nie wierząc we własną szczerść, choć te słowa brzmią dla mnie obco, jakby nie narodziły się w moim umyśle, a ona podaje mi tę nazwę, jakby chciała, żebym instrukcję znalazł w internecie. Dlaczego, dopytuje. Młody, zdrowy, wszystko przed panem, tłumaczy mi, ale oczywiście nie wierzę, milczę uparcie. Uciekam wzrokiem w podłogę z PCV, czyli znowu jest to publiczna przychodnia. Powoli podnoszę głowę, próbuje zachęcić mnie uśmiechem. No

przecież, mówi. No przecież, powtarzam bezgłośnie. A może to przez tę pracę, pyta, akcentując „TE”, jakby sprzedawanie gadżetów erotycznych było czymś hańbiącym albo powodującym pragnienie śmierci. Nie, odpowiadam, to nie to, to zaczęło się wcześniej, ciągnie od lat, to jedna z najdłuższych wypowiedzi w historii mojej nieudanej terapii, która, mam wrażenie, trwa od zawsze i zawsze trwać już będzie.

A z tym wieszaniem na klamce to było tak, ale tego już jej nie mówię, nie potrafię. Akurat opuściła mnie kobieta, co uznałem za okoliczność łagodzącą; liczyłem, że zyskam w ten sposób większe zrozumienie wśród rodziny i bliskich przyjaciół, bo dalsi znajomi będą głównie rozsiewać plotki, i w którejś wersji nie zginę już z własnej ręki, tylko stanę się bohaterem tragicznym, który zginął w bójce lub przejechany przez tramwaj.

Joanna odeszła, bo nie mogła znieść mojego smutku. Tak sobie to tłumaczyłem, a ona nie podała lepszego powodu. Właściwie w ogóle swojej decyzji nie uzasadniła. Nie będziemy się już spotykać, rzuciła jedynie szorstko, odkładając widelec. Byliśmy po wspólnej nocy i po śniadaniu, na które przyrządziłem moją ulubioną jajecznicę z cebulą, boczkiem, pieczarkami i papryką. Spojrzała mi w oczy, poprawiła blond grzywkę, ścisnęła poły szlafroka, jakby dając mi do zrozumienia, że od tego momentu nie powinienem spoglądać jej w dekolt, że utraciłem do tego prawo, choć znałem na pamięć każdy jego fragment, ten kawałek jej ciała był właściwie jedynym, z którym kiedykolwiek miałem okazję się dokładnie zapoznać. Być może należał on już do kogoś innego, nie zastanawiałem się nad tym, przelknąłem smażoną pieczarkę, spokojnie wytarłem talerz z resztek jajecznicy świeżą bułką i sięgnąłem po kawę. Nic nie powiesz, spytała, jakby nie powiedziała przed chwilą wszystkiego, a ja nie wiedziałem, czy mam paść na kolana i błagać ją o pozostanie w moim życiu, czy może o kolejną szansę, nie czułem się winny i dlatego nie chciałem o nią walczyć. Nawet jej nie kochałem, a i ona tego nigdy nie wyartykułowała.

Nigdy nie rozmawialiśmy o przyszłości, o wspólnym mieszkaniu, ewentualnym ślubie i posiadaniu potomstwa. Znając Joannę i to, że była pragmatyczna do bólu, zapewne tego słowa by w tej rozmowie użyła. Pojawiała się w moim mieszkaniu kilka razy w tygodniu, robiłem kolację, odbywaliśmy niewiele znaczącą konwersację i szliśmy do łóżka. Koniec. Wszystko według schematu, który wypracowaliśmy podczas pierwszego spotkania, choć moja współpraca ograniczała się do biernego uczestnictwa. W sypialni Joanna przejmowała inicjatywę, za każdym razem kochaliśmy się tak jak ona chciała, co niespecjalnie mi przeszkadzało, bo lubiłem oddawać się kobiecie. W tym wypadku kontrolę oddałem i już nigdy jej nie odzyskałem, a w czasie naszych miłosnych uniesień najczęściej oglądałem sufit, na który swój cień rzucały długie włosy Joanny. Rano wstawaliśmy, a po wspólnym śniadaniu i wypiciu kawy każde z nas jechało do swojego miejsca pracy. Dzwoniliśmy do siebie rzadko, rozmowy były krótkie, konkretne, dzień, godzina, co robimy, kolacja, żadnego kina, żadnych spotkań ze znajomymi, niewiele wspólnych wyjść. Ona nie poznała mojej rodziny, ja nie poznałem jej. Nie mieliśmy wspólnych znajomych, poznałem zaledwie jej najbliższą przyjaciółkę, osobę równie chłodną, która w czasie pierwszego, i jedyne, spotkania urządziła mi przesłuchanie do szóstego pokolenia wstecz. Z kolei mój jedyny przyjaciel, Robson, dla Joanny był impertynenckim chamem bez odrobiny kultury osobistej i godności. To ostatnie szczególnie mnie interesowało, ale nie dopytałem. Odtąd już spotykaliśmy się tylko we dwoje. I zawsze według utartego schematu.

Dobrze, odpowiedziałem, odstawiając kubek z kawą. Joanna spojrzała na mnie, wbijając we mnie zielone oczy, może przez moment wydała się rozczarowana moją biernością, ale przecież do niej powinna być przyzwyczajona. Wstała, minęła mnie bez słowa, a ja miałem ochotę klepnąć ją w tyłek, bo wiem, że to by ją rozwścieczyło. Taki sztubacki gest na zakończenie niezbyt udanej znajomości, którą ciężko było nazwać związkiem. Nawet

nie wiedziałem, gdzie mieszka, znałem, rzecz jasna, jej adres, ale nigdy nie zaprosiła mnie do swojego mieszkania, zapewne było sterylnie czyste, doskonale w każdym centymetrze kwadratowym, tak je widziałem w oczami wyobraźni. Musiało takie być, bo taka była Joanna, jedyna osoba, którą poznałem w życiu, niemająca skazy, doskonała przynajmniej według własnych kryteriów. Pewna siebie, nieco wyniosła, zimna, pedantyczna i elokwentna jak Krzysztof Zanussi. Ciężko ją było polubić, jeszcze ciężiej pokochać, mnie się nie udało, Joanna też nikomu nie okazywała sympatii, nie uśmiechała się do kasjerki w sklepie ani do kelnera w restauracji czy pubie. Nie mówiła o sobie nic zbędnego, żadnych wspomnień z wakacji, ani słowem o poprzednich miłosnych wzlotach, anegdot z pracy. Ona wiedziała o mnie równie niewiele. Teraz trudno mi sobie przypomnieć, czym wypełniliśmy te kilka miesięcy, nie pamiętałem żadnej rozmowy, dowcipu, historii z jej życia. Nic. Pustka, jakby cały nasz związek składał się tylko z mojego smutku, który Joannę momentami z pewnością przerażał. Najbardziej odczuwałem go tuż przed seksem, bo znałem każdą nadchodzącą sekundę. Najpierw Joanna zdejmowała spódnicę albo spodnie bądź letnią sukienkę, siadała na brzegu łóżka, ze złączonymi kolanami. Odkładałem książkę, którą czytałem leżąc. Podnosiłem się powoli, bo wiedziałem, że skoro usiadła właśnie w tym miejscu, to jest to cichy znak pozwolenia, a może czytelny sygnał do działania. Odgarniałem jej włosy z szyi, całowałem w kark, a po tym niewinnym w sumie geście ona przejmowała inicjatywę, a mi pozostało oglądanie sufitu, aż do wytrysku. Joanna orgazmy miewała rzadko, choć zdarzały się, w podniosłym momencie odchyłała głowę, włosy opadały jej na plecy, a swoje niezbyt długie paznokcie wbijała w moje uda. Dwa głośne jęki, jeden cichy, zawsze w tej samej kolejności, i o tym samym napięciu, jakby nawet w takiej chwili nie traciła kontroli nad sobą, bo tej nie traciła nigdy, właśnie dlatego chciałem ją klepnąć w tyłek, prymitywnym gestem godnym ucznia gimnazjum. Sprowokować, może poniżyć, zmusić do jakichkolwiek emocji, ale zabrakło mi odwagi i nie zrobiłem tego. Spotkaliśmy się przypadkiem pół roku później i w czasie krótkiej rozmowy na parkingu było więcej ciepła niż

doświadczyłem przez kilka miesięcy pozornie bliższych kontaktów. Obiecaliśmy sobie, że się dzwoniemy, bo tak kończą się wszystkie bezsensowne rozmowy osób, które niewiele już łączy, a kiedyś łączyła tylko wymiana płynów organicznych. Spojrzałem za nią, wiedząc, że nie zadzwonię do niej już więcej, a i ona z pewnością tak myślała, bo jej imię już więcej nie wyświetliło się na ekranie mojego telefonu.

A ja w czasie tej rozmowy ścisnąłem w kieszeni kolejną receptę z nazwą najnowszego leku, który, wie pan, nowy lek, żadnych skutków ubocznych, żadnego przesadnego zmęczenia, żadnej zadyszki na schodach, naprawdę, mówię panu, re-we-la-cja, pacjenci są zachwyceni, zachwalał nowy lek psychiatra, jakby był nie lekarzem, a przedstawicielem handlowym koncernu farmaceutycznego. Wcześniej próbował ze mną rozmawiać, wpisując moje słowa do dużego notesu, choć wyglądało to, jakby szkicował mój kubistyczny portret, a potem zamaszystym ruchem przewracał kartkę, notował jeszcze bardziej zawzięcie, a kiedy tylko udało mi się sklecić dwa w miarę sensowne zdania, odrywał długopis od papieru i zachęcał mnie, mówiąc, dalej, dalej, co mnie skutecznie blokowało i zamykałem się w sobie. Dobrze, dobrze, dodawał, przewracał kartkę, notował, choć z moich ust do końca wizyty nie padało już żadne słowo. Wbijałem wzrok w jego nieliczne siwe włosy na gęstej czarnej brodzie, która przypominała mi brodę mojego niedawno zmarłego ojca, zdobiącą jego twarz w młodości, a którą znałem tylko ze zdjęć.

4.

Często próbowałem sobie przypomnieć, kiedy po raz pierwszy mój smutek nie pozwolił mi wstać z łóżka lub też znacznie go utrudnił. Nie umiałem w pamięci odnaleźć tego poranka, tego „dnia zero”, tego

pierwszego przebłyску nadciągającego cierpienia. Wysilałem umysł, analizowałem, przeglądałem stare kalendarze, zgromadzone przez lata, a które trzymałem w kartonie po kuchence mikrofalowej, ukrytym w najdalszym zakątku rozsuwanej szafy. Nigdy nie wpisywałem do nich wizyt, te zapisane miałem na małych karteczkach, otrzymywanych w gabinetach bądź recepcjach, co znacznie utrudniało znalezienie daty pierwszego spotkania ze specjalistą od schorzeń duszy. To nie mogło pojawić się nagle, musiało rosnać jak nowotwór i dopiero pewnego dnia stać się odczuwalne, choć mimo wszystko nagle i niespodziewane, jak telefon w środku nocy, kiedy zakładasz, że na pewno dzwonią ze szpitala z wiadomością, że zmarł twój ojciec, a to tylko pijany Robson. Opowiadający, że cytata blondynka przy barze jest chętna, ale wolałby tę brunetkę, a zapewne skończy z rudą, którą zaczepił przy toalecie, mającą niewiele atutów, a największym jest ten, że jest jeszcze bardziej chętna niż cytata.

Znałem go od przedszkola i była to jedyna w moim otoczeniu przyjaźń, która przetrwała tyle czasu, a zaczęła się od tego, że Robson zepsuł mi moją ulubioną zabawkę. Była siermiężna jak wszystko na przełomie lat siedemdziesiątych i osiemdziesiątych, ale dla mnie była najważniejsza w życiu, a Robson najpierw ją sobie przywłaszczył, a po kilku dniach oddał zepsutą. Pewnie wylałem nad tym faktem sporo łez, ale sprawcę mojego nieszczęścia pokochałem od tego dnia i kocham nadal, nieustannie darzę go głębokim uczuciem, jakim obdarzyć można w życiu tylko jedną osobę i to bez wykonywania w sypialni skomplikowanych figur. Trwaliśmy w naszej przyjaźni, na skraju miłości, przez nasze małżeństwa – po jednym z każdej strony, i pewnie setki związków o różnej intensywności – tu Robson wykazywał o wiele mniejszy konserwatyzm i wstrzemięźliwość niż ja. I w przeciwieństwie do mnie twierdził, że już więcej nie popełni tego błędu, i nie ożeni się ponownie, natomiast ja często powtarzałem za Kurtem Vonnegutem, że „kto by tam ze mną poszedł do łóżka oprócz żony”.

Mówiłem to oczywiście ironicznie, bo kobiety często przemierzały moją sypialnię, o ile akurat jeden z psychiatrów nie przepisał mi leku, który powodował, że nawet dwudziestoczterogodzinna sesja na PornHubie nie byłaby w stanie spowodować u mnie choćby najmniejszego śladu erekcji. I jeśli tak się akurat zdarzało, to odstawiałem lek, który i tak nie regulował mi chemii mózgu, nie powodował euforii ani niczego innego poza problemami ze wzrodem, to przedłużałem moment naszego pierwszego zbliżenia, co doprowadzało nowo poznaną kobietę do szaleństwa, w pozytywnym tego słowa znaczeniu. Nie podejmowałem tego tematu, wiłem się, na pytanie po skończonej kolacji, co robimy, odpowiadałem, odwiozę cię do domu, widziałem ich rozszerzone z niedowierzania oczy, zwątpienie we własny urok i spokojnie czekałem, aż intruz wyparuje z mojego organizmu i odzyskam pełną sprawność seksualną.

To wszystko przez ten kwadrat, tłumaczył moje sukcesy u płci przeciwnej Robson. Rozkładał przy tym ręce, jakby chciał objąć ogrom mojego mieszkania, choć miało tylko sześćdziesiąt metrów kwadratowych. Nie jego powierzchnia mogła robić jednak wrażenie na kobietach, nawet nie położenie, to nawet tym bardziej, co widok z okna. Poznań nie był przesadnie pięknym miastem, ale panorama z mojego balkonu na Wartę i centrum, ze sznurem samochodów na moście Przemysła I, z subtelnymi wieżowcami wyrastającymi przy Placu Andersa, pomogła dotrzeć do mojej sypialni niejednej przedstawicielce płci pięknej.

Joanny ten widok oczywiście nie zachwycił, bo ją mogło entuzjazmować, i to też umiarkowanie, jedynie jej życie odmierzone i wyrysowane jak od linijki. Nie cieszyło jej nic, nawet rzadkie orgazmy, o feerii smaków, którą serwowałem jej w mojej kuchni, nie wspominając. Przeżuwała potrawy z naburmuszoną i znudzoną miną, a kiedy ją obserwowałem, myślałem sobie, że to raczej ona powinna odwiedzać te wszystkie gabinety, które stały się moim przekleństwem przez lata. Wspominam ją często,

równocześnie z sentymentem, jak i z zażenowaniem, wracam do wspólnych chwil, choć nie znaczyła dla mnie wiele, jak i ja dla niej. Po rozstaniu z nią wpadłem w czarną rozpacz, ale nie Joanna była jej przyczyną, a dokonąć zadzierzgnięcia, choć wtedy nie znałem jeszcze tego słowa, chciałem z powodu zalewającego mój umysł smutku, nie umiałem go nazwać, nie pamiętałem jego pierwszych chwil na tym świecie. Niewiele o nim wiedziałem, poza tym, że jest i że nieubłaganie prowadzi mnie on ku oknu, torom kolejowym lub tabletkom nasennym w przesadzonej dawce.

Tamtego dnia, kiedy na powrót staliśmy się wolnymi ludźmi, spokojnie dopiłem kawę, nasłuchując krzątania się Joanny po mieszkaniu. Zawsze przyjeżdżała do mnie z torbą pełną ubrań i kosmetyków. Rano pakowała ją i rozstawaliśmy się, niezbyt czule żegnając się w windzie. Joanna lekko wydymała wargi całując mnie najpierw w usta, a potem jeszcze w policzek, a ja chwilami miałem ochotę wgryźć się w te wargi, wyrwać je z tej idealnej twarzy, wprowadzić do naszego nędznego związku trochę życia, takiego na granicy atawizmu. Nigdy się nie odważyłem, moja bierność za każdym razem brała górę. Nie onieśmiało mnie jej piękno, może nie chciałem burzyć jej idealnie zaplanowanego życia, może odpowiadało mi to, że nie muszę niczego planować, bo wszelkie moje plany są odrzucane, że liczy się tylko jej przyjemność i jej sposób na spędzanie ze mną czasu. Nasz związek, nadal ciężko przechodzi mi to przez usta, nie był obiektem moich rozmów z terapeutami ani nie obniżał mi nastroju. Tego dnia pojechałem normalnie do pracy, tkwiłem w korku jak tysiące mieszkańców tego miasta. Budzące się do życia nagle, tuż po siódmej, kiedy to do nielicznych środków transportu publicznego i samochodów z dostawami do sklepów, dołączali swoimi autami tacy jak ja. Korki specjalnie mnie nie irytowały, cierpliwie czekałem w długim sznurze pojazdów, słuchałem radia, choć i muzyka, i wiadomości przelatywały przeze mnie, nie wywołując żadnych refleksji ani emocji. Jako przedsiębiorcę powinien interesować mnie przynajmniej kurs dolara, bo większość produktów, które wraz z Robsonem

sprzedawaliśmy w naszym sklepie internetowym, pochodziła z importu, ale był mi on całkowicie obojętny, tak jak wartość indeksów giełdowych czy prognoza wzrostu PKB.

Kątem oka obserwowałem atrakcyjną brunetkę w samochodzie obok, nakładającą makijaż i przeglądającą się co chwila w lusterku bocznym bądź wstecznym. Było to dla mnie nowe doświadczenie, zawsze wydawało mi się, że kobieta malująca się w aucie, to legenda miejska, prawdziwa jak ta o dzieciach uprowadzanych w centrach handlowych. Obserwowałem ją dyskretnie, nie chcąc jej zawstydzić albo żeby ona nie posłała mi ciepłego uśmiechu, na który nie umiałbym odpowiedzieć. Nazywałem ją w myślach „Joanną”, bo to właśnie moja już była od kilkudziesięciu minut partnerka szczelnie zamykała przede mną drzwi łazienki, jakby nie chciała, żeby wiedział, co się za nimi rozgrywa. Jakich nieczystych czynności dokonuje, żeby stać się tak zjawiskowo piękna, jaka ukazywała mi się o poranku w porze śniadania.

Sznur samochodów ruszył z wolna, jakby na znak niewidocznego demurga, wpuściłem przed siebie fiata zmieniającego pas, tracąc w ten sposób z oczu „Joannę”. Byłem uprzejmy, nie oczekując od świata tego samego, może nie uśmiechałem się zbyt często, a właściwie prawie nigdy, ale nie awanturowałem się, nie krzychałem, a momenty, kiedy podniosłem głos, moi pracownicy mogliby policzyć na palcach jednej dłoni. Traktowałem ich po partnersku, a nie jak niewolników, chyba byłem lubiany w ich gronie, choć niespecjalnie mi na tym zależało. Być może byłem zbyt pobłażliwy, ale w naszym układzie to Robson był tym złym policjantem, tak jak w naszej trwającej ponad trzydzieści lat najpierw znajomości, a później przyjaźni, był on tym „szalonym i wściekłym”, a ja prezentowałem się w jego świetle jako ten „rozważny i opanowany”. To ja powstrzymywałem go przed narobieniem większych głupot w dzieciństwie i młodości niż faktycznie narobiliśmy. Chodźmy spalmy tę szopę na działkach, mówił Robson

z dzikim podnieceniem, wszystkie pomysły wybuchały w nim gwałtownie, a ja spokojnie liczyłem do dziesięciu i próbowałem wytłumaczyć mu, że może to nie jest najlepszy pomysł. Oponował z początku, ale zazwyczaj w czasie mojej drugiej próby kolejne argumenty już go przekonywały i zamiast spalić tę szopę, jedynie szabrowaliśmy opuszczony ogródek. Ojciec Robsona mówił mu, nim cokolwiek zrobisz, pomyśl trzy razy, a do mnie zwracał się, Adamie, pilnuj, żeby znowu czegoś nie zmajstrował. I pilnowałem, nie zawsze się udawało, nie zdołałem odwieść go od poślubienia kobiety, której nie powinien był poślubić, a która omal nie rozniosła na strzępy naszego raczkującego jeszcze wtedy biznesu. Po krótkim, acz bardzo burzliwym małżeństwie Robson przyznał mi rację, mówiąc, od teraz już zawsze będę cię słuchał. Nie wierzyłem w jego zapewnienie, jak pokazała przyszłość, całkiem słusznie, ale jemu gotów byłem wybaczyć wiele, może nawet wszystko.

Dzień dobry, Adamie, wpadniesz do mnie na chwilę, przywitała mnie w kuchni nasza księgowa – Dorota, skinąłem głową gestem, który oznaczał jednocześnie odpowiedź na pytanie i powitanie. Uśmiechnęła się, była wysoką kobietą o kasztanowych włosach, prawdopodobnie farbowanych, ale tego nigdy nie byłem w stanie jednoznacznie stwierdzić, a które układała w fantazyjne kształty, a mnie zastanawiało, czy żeby o ósmej rano epatować tak doskonałą fryzurą, nie wstaje z jej powodu o wpół do czwartej. Krótco po tym, kiedy zaczęła z nami pracować, skutecznie oparła się moim wdziękom, a przed Robsonem oparła się o szafkę na dokumenty. Tak przynajmniej twierdził, a ja zawsze mu wierzyłem, bo nie zdarzyło się kiedykolwiek, żeby mnie nie okłamał. Musiał z pewnością okłamywać, i to zapewne patologicznie, wszystkie swoje jednonocne przygody, kobiety z dłuższych związków, te kilka partnerek o kilkumiesięcznym stażu, które co prawda okłamywał, ale przynajmniej ich nie zdradzał, musiał również okłamywać tę, której przysięgał wierność i miłość do grobowej deski, choć przed nią wystarczyło tylko chować pieniądze.

Przygotowałem kawę z ekspresu, pachnącą jak smoła, a ja wyczuwałem na horyzoncie czarne dni, choć nie znałem przyczyny ich nadejścia, ale na pewno nie spowodowało tego zakończenie mojego osobliwego związku z Joanną.

Kilka dni później chciałem powiesić się na mojej designerskiej kłamce, ale nie wiedziałem, jak to zrobić. A terminu „zadziergnięcie” nie wyszukałem w internecie do dziś.



XXVI Konkurs Literacki
Krajobrazy Słowa

Natalia Kubicius

Godło „eNKa”

I nagroda w dziedzinie poezji

Natalia Kubicius

Studentka filologii polskiej na Uniwersytecie Śląskim w Katowicach. Redaktorka i korektorka w magazynie studenckim „Suplement”, Międzywydziałowym Stowarzyszeniu Dziennikarzy „Mosty” oraz portalu DailyVibes. Wyróżniona w 12. i 13. edycji Połowy Biura Literackiego, konkursie poetyckim portalu Sweek#WyznanieLiryczne oraz XVIII Ogólnopolskim Konkursie Poetyckim „Bez Granic”. Publikowała wiersze w „Bibliotece”, „Kontencie”, oraz „Kreatywnych”.

Czyhanie na pogan

mam w dupie małe miasteczka

Andrzej Bursa, „Sobota”

Godzina 19:45 wywołuje drzenie
w podziemnych kondygnacjach, gdzie marynowane
grzyby wciąż mają nas za nazistów. Żeby Polska była
pleśnią, porastała francuskie sery
i włoskie pomidory, a stąd już prosta droga
do własnej marki (lepsze to niż euro,
którym łąta się dziury po Cesarstwie
Rzymskim). Otworzyć souveniry

dla Polaków, tłumaczyć drogowskazy
z polskiego na polski, celować
w brytyjskich turystów (może nawet
zachęcić do emigracji?), w ich polskie rodziny

wkładać cukrową watę, ale nie taką za 4,50, co się serwuje
na obchodach Dni Miasta – lepiej podnieść ich rangę
do Dni Państwa i tym sposobem wywołać falę
lokalnych protestów, nakarmić ksenofobię
jej własnym ciałem,

wyprzedzić strajki głodowe.

Deficyt czystych serc

Rozdziobią nam słońce co do jednego
wolta. Wydoją UV do ostatniego
czerniaka, a naznaczonych pokroją w plastry

i wystawią na międzygalaktycznej aukcji
z dziką nadzieją, że ten ochłap cokolwiek znaczy
dla Na'vi czy innych niebieskich ciał,

niebieskich królestw, które wprawdzie
kupują w ilościach hurtowych, ale tylko
dlatego, żeby nie przyszło nam do głowy
apelować od śmierci, właśnie teraz, kiedy świat
zadłużony jest na 237 bilionów organów.

Umowa śmieciowa

Czystość przedmałżeńska to kondom na serce
przysięgam, że nie doszło do inicjacji.

Ślimak, ślimak, pokaż rogi.

Kiedyś będziemy zaściankowi
z tym całym manifestem wolności
dróg rodnych, memami o niechęci do
starych znajomych, zwierzętami, które
nigdy nie wyrosną na ludzi.

*Ślimak, ślimak, pokaż nogi,
odwróć się przodem do widowni.*

To siedlisko mojej krwi, komarzycza,
insekt, co podobno najwięcej szkodzi,
a pompuje NFZ, ZUS i PKB
jednym tchem, jednym węchem wyczuwa w tobie

ryzyko, gen adrenaliny pulsuje mu
w kości miedniczej, gdzie kończy się
matrioszka, a zaczyna ruletka,

do sześciu razy sztuka, sześć za sztukę
w kiosku ruchu, skasuje mi to pani?

Viryzm, czyli walka o równouprawnienie mężczyzn

pracownik poczty oprócz doręczanych przesyłek, zostawiał gospodyniom część siebie
MM, „Listonosz ojcem 1300 nieślubnych dzieci!”

Jesteś taka podobna do taty!,

woła ciotka Hela od wujka z obu stron,
którą słusznie podejrzewałam o brak jakiegokolwiek
ze mną powinowactwa, nie mówiąc już
o pokrewieństwie – aorcie dalece

wyspecjalizowanej wiedzy na temat
przekazywania kolejnym pokoleniom
cukrzycy i zespołu Downa. Choć mieszcze się
w powszechnych statystykach (klacz z uprzążą temu,
kto nigdy nie skłamał przy ankietach), nie widzi mi się

przypominać z twarzy mężczyzny w średnim wieku,
choćby i bez brody, nie widzi mi się, żebym miała zdzierać z niego
skórę, zabierać, przywłaszczać, jak by to się należało. Niech zachowa
oczy na starość, powieki na śmierć, a usta na zamknięcie

pewnego rozdziału spisanego językiem DNA,
do dna, ojcowie własnych córek,

żona nie wpuściła do domu listonosza.

W ramach protestu przeciwko władzy dokonam aktu samospalenia

Lubię ludzi.
Szczególnie tych, których nie znam.

Lubię podkładać im ręce pod głowy,
uciskać skronie, aż poleje się sok,
zwiotczeje mięsz, a padliny już nikt nie ruszy.

Wtedy działam jak doberman z wszczepionym
pod sierść alkometem – destyluję z nich sny
i hormony, czystą fantazją karmię przydrożne kwiaty,

a resztę wlewam z powrotem, na przepicie i przebłaganie
za grzechy nasze i całego świata.



XXVI Konkurs Literacki
Krajobrazy Słowa

Dominika Lewicka-Klucznik

Godło „Duktando”

II nagroda w dziedzinie poezji

Dominika Lewicka-Klucznik

Animatorka, filolożka. Od początku istnienia Alternatywnego Elbląskiego Klubu Literackiego angażuje się w jego działania pisarsko oraz organizacyjnie. Od marca 2014 jest prezeską Stowarzyszenia Alternatywni, które zajmuje się organizacją wydarzeń kulturalnych w Elblągu, a przede wszystkim Festiwalu Literatury „Wielorzecze”.

Zawód kobieta

Dochodzimy do momentu, gdy trzeba stworzyć wążek i osnowę. A wążek jest głupi. Będzie leciał na ośle. Milczenie jest nieodłączną częścią historii.

Zbędnę córki są organicznie związane z maszyną.
Porzuciły rytm podporządkowany roli, siewu
i zbiorów, pór roku i wegetacji
dla życia podporządkowanego produkcji.

Miasto, maszyna, praca fabryki.
Na ustach czerwien, pod spodem łachmany opinające
ciało, a w głowie jedna myśl - zjeść. Coś zjeść.

To nie jest samorozwój. To konieczność.
Tak się łamie opór dziewczyn, które i tak
nie nauczą się dbać o cnotę. W ciemnych fabrykach
szybciej niż w ciemnych kuchniach stracą wzrok.

Sto na wasze miejsce.
3 razy K. Kapusta, kartofle, kasza.

Jakby kobiety oznaczały przekroczenie
ostatecznej granicy cierpliwości.

Kolejna Maria

Okazało się, że zamiast dobrej sąsiadki mamy
Niemkę, która nie pozwalała dzieciom
z nami rozmawiać. Świat się kurczył.

Ludzie kurczyli się z głodu, wyczerpania i strachu.

Maria to nie jest jej prawdziwe imię.
W statystykach kobieta jest pomiędzy
klinkierem a koksem. W życiu pomiędzy

nocną zmianą w fabryce a kolejką
w sklepie czy w urzędzie.

Persil ma fan

Jak wieszam pranie? Równo. Na pół. Symetrycznie.
Wszystko jest naciągnięte i spięte tak, by trzeba było
jak najmniej prasować. Niektórzy mówią, że jak w wojsku.

Wieszam zawsze na lewej stronie i dzięki temu
nie obawiam się, że słońce do reszty wywabi kolor,
zniszczy tkaninę. Jego koszulki i tak muszę inaczej składać,

bo on nie lubi, gdy idzie mu kant przez środek ciała.
Wieszam pranie kategoriami i kolorami. Pomiędzy
moim a jego są rzeczy dzieci. To są jego dzieci a ich rzeczy.

Potem się ściąga i równo układa na cztery kupki. Ostatnio
pralka zostawia osad na ciuchach muszę ją wyczyścić.
Ale teraz skrobię paznokciem na mokro.

Na sucho się nie da.

III LO

Kasę poznałam w czwartej klasie. Miała wszystkich, choć nie miała nic. Donaszała koszulki po starszym bracie, a na tyłku wiecznie za krótkie jeansowe spodenki.

Lubiła się bawić. Do szkoły często przychodziła po winie, a długa przerwa była okazją na coś mocniejszego. Imponowała nam, dzieciom z tego lepszego osiedla. Mała i chuda potrafiła zagadać z każdym i budziła szacunek.

Miała też siniaki i wcale nie po tym, jak pobiliśmy się w męskim kiblu. Potem paliliśmy tam po lekcjach i udawaliśmy, że nigdy nie będziemy się przyjaźnić i nie odbierzemy sobie chłopaków. Wypaliła mi wtedy serce w nowej koszuli w kratę.

Podobno miała talent. Podobno wpadła w złe środowisko. Podobno kolejni koledzy zbierali ją co kilka dni z chodnika. Piła za dużo i nie umiała ułożyć sobie życia.

Myszka

Mama stale powtarzała, że jestem niedobra.
Musiałam spać z twarzą przytuloną do ściany,
a każde ważne wydarzenie sprawiało, że sikałam
ze strachu po nogach. Nie umiałam zjeść
i się nie upieprzyć, źle sprzątałam, odzywałam się nie tak.

Piątki nie były tymi odpowiednimi piątkami.
Nie zasługiwałam na sukienki i zawsze wyglądałam
jak cień kogoś lepszego. Ubierała mnie na szaro.
Tak długo w tym kolorze chodziłam, że twarz i włosy
przybrały również niezdrowy kolor.

Nikt się ze mną nie przyjaźnił, nikt nie zabiegał.
Lubił mnie wujek. A najbardziej to moje spanie
z twarzą do ściany. Nie musiał na mnie patrzeć,
jak był dla mnie miły co jakiś czas.
Myślałam, że to wszystko dlatego, że jestem zła.

Przecież mama tak stale powtarzała.



XXVI Konkurs Literacki
Krajobrazy Słowa

Klaudia

Mazur

Godło „ŚWIAT TŁO”

III nagroda w dziedzinie poezji

Klaudia Mazur

Nauczycielka języka polskiego, żona i mama dwójki przedszkolaków. Nagradzana i wyróżniana w różnych konkursach literackich. Pisze również bajki i wiersze dla dzieci.

Wykład

- Jesteś śladem -
mówił profesor
z papierosem,
w dusznej sali
po wykładzie,
był czerwiec,
wszyscy już mieliśmy
zdiagnozowaną
borderline.

- Wyjątkowym? -
pytałam
nie pozwalając mu
na więcej, poza
molestowaniem
intelektualnym.

- Tylko teoretycznie -
gasił papierosa
i neurony w moim
gorączkowym mózgu.

W nocy słyszałam
wrzask karetki,
znowu po kogoś jadą,
kogoś, tylko w teorii.

Wiek XIX

Obsesje kobiet
przybierają pozory
niestety materialne;
ta na przykład marzy
o żyrandolu
z kryształów.

Mąż szuka już
nowych zleceń
i nowych kochanek.

A ona tylko -
dowiemy się tego
z chaotycznych zapisków -
chciała sypiać
w tęczy.

List w butelce

Tej nocy ryby napisały list
i włożyły go do butelki,
a następnie wyrzuciły na ląd.

Wysyłek okazał się daremny,
butelka trafiła na wysypisko
wraz z wszystkimi wynurzeniami.

My, ludzie z lądu, tacy już jesteśmy -
zbyt mało romantyczni,
już dawno przełączeni w tryb:

SEGREGACJA

Brak zaufania

Absolutnie nie ufam tej osobie,
która ze mną mieszka,
rano parzy mi kawę, prasuje ubrania.

Nie wiem czego chce,
a czegoś na pewno.

Kiedy się odzywa,
mówi drewnianym głosem,
kaleczy litery.

Nocą chodzi po domu,
pewnie ściera kurze,

przetrzęsa szuflady,
ostrzy noże
do śniadania.

W mojej sypialni drzę
z uchem przy drzwiach
i z pewnością

z pew ością?
pe ścią....?

ciiii...
że stoi tuż za mną.

Nauka

Przeczytałam wszystkie książki
od tyłu
i teraz wiem,
że śmierć jest początkiem miłości,
pokój początkiem wojny,
przystań początkiem podróży.

Wiem, że zazdrośni są nieszczęśliwi,
a porywczy zostali skrzywdzeni.

Mam więcej zrozumienia dla świata,
gdy zobaczyłam jak umiera,
a potem wstrzymywałam oddech,
by się narodził.



XXVI Konkurs Literacki
Krajobrazy Słowa

Agata Wesołowska

Godło „Kokoszka”

Wyróżnienie w dziedzinie poezji

Agata Wesołowska

Urodziła się w 1980 r. we Włocławku, a od 1999 r. mieszka w Toruniu. Ukończyła studia m.in. z filozofii, dziennikarstwa i historii sztuki. Doktoryzuje się i pracuje jako przewodniczka po Toruniu. Poza literaturą pasjonuje się antropologią społeczną, kinem oraz historią kuchni.

Dotychczas swoje wiersze publikowała na łamach „Gazety Kujawskiej”, pisma „Undergrunt” oraz w wydawnictwach pokonkursowych. Brała udział w organizowanych w Toruniu wieczorkach poetyckich i warsztatach literackich. Wielokrotnie angażowała się jako wolontariuszka w toruńskim Centrum Sztuki Współczesnej („Prze-projekt”, TORMIAR) i galerii sztuki WOZOWNIA w Toruniu, na potrzeby której w 2015 r. opracowała katalogi wystawy prac Moniki Mausolf pt. „Dendra”. Kilka razy została wyróżniona w konkursach literackich, organizowanych przez toruński miesięcznik kulturalny „Ikar”.

Ojciec

nauczyłeś mnie
chadzać po dachach
starych kamienic
śródmiejskich podwórzach
muzeach, gdzie byliśmy
jedyneymi zwiedzającymi
zapisywałeś
do osiedlowych bibliotek
z zielonym linoleum
i modelem żagłowca
co pływał
po tylko sobie
znanych wodach

Kadisz

przyjechałam tu
tylko po to, żeby przeczytać
wiersz Różewicza
ten o matce i brzegu
znaleźć kirkut
daleko
już prawie za miastem
obok otwarto strzelnicę
szłam wśród macew
i szorstkich wystrzałów
staruszka z naprzeciwka
o spojrzeniu
jak za płytka woda
otworzyła ohel
pokazała
gdzie biegły rowy z wapnem
gdy w czterdziestym trzecim
likwidowano getto
w rzędach równych jak brzozy
stąd-dotąd, mówiła
wymachując ręką

czy to już wszystko Tato
tak, to wszystko

Głuchy telefon

jak mam uwierzyć
że pod spodem
to wciąż Ty
co to znaczy
że nie ma Twoich zielonych:
brzucha brody spojrzenia
głosu w słuchawce
niedokończona rozmowa
zakłócenia na linii
axis mundi
zepsuty telefon
obudowany w drewno

Ogłoszenia różne

Rytuał
spółka z bardzo ograniczoną
odpowiedzialnością
nagrobek nr 77
wygląd nie jest
dziełem przypadku
u nas wszystko
zostało przemyślane
nie licz
na łut szczęścia
kupując u konkurencji
silikon montażowy
gratis
fotografia na szkle
albo porcelanie
(dodaj zdjęcie)
działamy na terenie
całego kraju

zwrotów
nie przyjmujemy

Samsara

punkt bez powrotu
ziemia w wodę
woda w ogień
ogień w wiatr
wiatr w ja
bądź
jak przejrzyste
jesienne niebo



XXVI Konkurs Literacki

Krajobrazy Słowa

Miłosz Kamiński

Godło „Usługi dla ludności”

Wyróżnienie w dziedzinie poezji

Miłosz Kamiński

Urodził się w 1978 r. w Bogatyni, mieszka w Jeleniej Górze. Pracuje jako urzędnik w samorządzie gminnym w Janowicach Wielkich. Publikował w „Zeszytach Literackich”, „Tytule”, „Studium”, „Toposie”. W 2004 r. wydał tom wierszy pt. „Przeszłość dla uważnych”. Był nagradzany w konkursach poetyckich: *O Złote Gęsie Pióro* w Wąglanach, *O Laur Kosmicznego Koperka* w Nowej Rudzie, *O Nagrodę im. K. Baczyńskiego* w Łodzi, *Krajobrazy Słowa w Kędzierzynie-Koźlu*, *im. R. M. Rilkego* w Sopocie.

Triska. Chwile pomiędzy

To będzie coś między wypadkiem a samobójstwem,
ujęcie pierwsze: słoneczny, jesienny dzień na moście
Karola pełnym turystów, jak kiść winogron zwieszają się
pozuając do selfie ze złotą Pragą w tle: czego nie wykaże
sekcja zwłok, a gdyby nawet przeprowadzić sekcję duszy,
znalazłoby się wszystko na swoim miejscu: Triska siedzi
na kamiennej balustradzie, nierozpoznany przez nikogo

Przodem do Wełtawy: kołysze nogami, ma 80 lat i listę
sukcesów: zauważono go spod mostu, spadał tak lekko
Toast wznosimy za tysiąc innych historii, które nabiorą
polubień: kapitan statku dla turystów machnie tylko ręką,
gdy dwóch górników z Polski wplaw rzuci się do tonącego
Samobójstwa tutaj rzecz powszechna, a samobójcom
pomagać nie należy: mogą cię wciągnąć w swój świat

Na samo dno w Pradze, którą znasz bardzo dobrze
ze studiów w dziedzinie tracenia, kończyłaś tę samą
uczelnię, co Triska, przed tobą sukces, miłość i życie
aktorskie: coś między wypadkiem a samobójstwem

Sny sudeckie. To nie był dobry czas

Bo kim mogliśmy być? Smakiem i zapachem papierówki pod drzewem lipca, oczami wyobraźni, dla Redenów nikiem bardziej, scalonym układem kiedyś w przyszłości, z tą samą przyrodą na wyciągnięcie ręki, co splecie się jak dym i mgła, wątek i osnowa - w pustych mauzoleach wiatr traci oddech

Niepewna jest przyszłość, hrabio: kres w gorączce i nicości, w samotności i w saunie, gdy koniec czasu wegetacji i zima za oknem nóż na kamieniu ostrzy, jak para i elektryczność jest motywem miłosnym i podwójnym, jak zakup kapelusza czarodzieja epizodem i wielkim świętem - dniem łabędzia

Rozsypana w puzzlach, bo jeśli jesteś katolikiem, wojna ci nie posłuży: poezja, Silesia, historie układają się w historię, zmysły są radarem i łowią w bezmiarze nieba, a niebo jest w inwersji i lustrze spraw: to nie światło nas pokonało, dlatego nici ze zdjęć i dowodów, że byliśmy: Szwedzi pod miastem

Moje dłonie na twoich piersiach, za oknem ciemne legendy spijane z ust: pasuje do ciebie bardziej srebro czy złoto? Lato jest szybowcem ponad miastem, w lesie wcześniej zaczyna się północ: wierząca lub nie, na jaki grzech mi ty, na co mi ty, a jeśli na dobre i na złe, na teraz i na zawsze?

Sny sudeckie. Z dzbana nocy pijemy

We śnie wciąż gram w kości: z oszustami przy drodze
zęby zjadam i wciąż nie znajduję ani kamienia dla ciebie
Od rana Śląsk na okrągło: Wrocław koleją i z powrotem,
wieczorem teatr wałbrzyski, więc Wałbrzycha po trzykroć
Za dużo: jestem zegarem, gdy patrzysz, cały ze smogu,
ciężki od spotkań, gdy sok trzaska w starych drzewach
Za mało: mnożą się warianty historii, których nie dane
było nam ze sobą przeżyć, pogrzebanych raz na zawsze
Czas przyspiesza: na wiosnę, rzeczy kolej, dłuższy sen
albo pustkę, gdy na plaży nudystów nie ma nawet cienia

Sny sudeckie. Kto raz wyrusza

Do zdjęć nie uśmiechasz się od dawna i tych,
co nie kochasz, liczysz podwójnie za umarłych
Zanim się ukryjesz pod kocem z zimowego smogu
lub wierszem tak gęstym, że nie starczy oddechu
i wszystkie kardiografy skapitulują przed spokojem

Który jak mapy światła, gdzie tysiąc wysp i orient
zlewają się w jedno: będę z tysiąca ciemnych miejsc,
gdzie mak sięją do zachodu i w chłodnej precyzji
kelnerzy ze sztućców odczytują wróżbę nocy
Otwierają się rajskie wrota i jesteśmy spotkaniem
noża z widelcem, łyżeczki z talerzykiem, kieliszków

W noc, kiedy się całowaliśmy, w mieście ustawiano
choinki, na prześwieconych kliszach wystaw rosły
prezenty i święta pęczniały jak brzuchy ciężarnych
Poranek za porankiem wygrywał nam melodyjki
z pozytywki i nie było za nas nigdy większej ceny

Sny sudeckie. Rzecz o umarłych kochankach

Teraz noce będą z granitu, gdy budzić się będę z ciebie
kamień po kamieniu, końca nigdy do końca niepewna
Co piszą na niejasnym niebie przyjaciele, których brakło,
gdy w przestrzeni rosły góry i w siłę dźwigały się miasta?
W leśnych krzewach lament ziemi, w gałęziach i liściach
szepty z ciała wygnane, z cierpkich owoców łąza ciśnięta
Śląsk jak chusteczka haftowana, gdy spełnia się historia:
wszystkie cztery rogi, wciąż komu rzucane pod nogi?

Śpiewam i w pieśni płynie słodkie wino przyszłego roku,
złudzenie przebudzenia w styczniu pełnym księżycą
Czym płacić, odkąd nie mam już Śląska, przez granicę
pisze do męża księżna Agnieszka, jaka limes dzieli żywych?
Dziś więcej niż złudzenie: w reklamówce jakby żywe ryby
niosłeś dwie butelki wina, miały starczyć po bramę świtu
Przeżył się kot księżycą w nurcie rzeki i noc nabierała głębi:
mało nas do pieczenia chleba, tylko ciebie tu potrzeba?

Wciąż jeszcze na widowni, Śląsk pokazuje nieznane drogi
i śmierć nie łamie gorzkiej miłości, jak napiszą na nagrobku
Oddech obok, dłoń zaciśnięta na mojej, to śpi życie uśpione,
w Jaworze kogut pieje na dzień i czas rozlewa się w delcie:
Agnieszka nie ma życia, wszystko traci ze śmiercią Bolka
Gdy myślę o naszych sprawach, gęsto zapisanych tęsknotą,
rośnie drzewo nie posadzone, jego kora śni się na potęgę
i pachnie zmysłowo: my się go boimy, na palcach chodzimy